

Gjersoe Ann-Christin

Dziedzictwo II 17

Groźby

Galeria postaci:

- Abelone Ladefoss** - wdowa po Eriku Ladefossie
Aksel Gimle - ojciec Abelone, właściciel Gimle
Marie Gimle - najmłodsza, siedmioletnia siostra Abelone
Jorgen Gimle - młodszy brat Abelone, dziedzic Gimle, niedługo skończy trzy lata
Isak Gimle - brat bliźniak Jorgena
Mały Erik - ośmiomiesięczny syn Abelone
Blanche Bjerkely - kuzynka Abelone
Alf Bjerkely - mąż Blanche
Helene Augusta - dwuletnia córka Blanche i Alfa
Ellen Bjerregaard - siostra Abelone
Ulrik Bjerregaard - mąż Ellen
Bera - służąca w Gimle
Hilmar - parobek w Gimle
Sofie - pokojówka w Gimle
Malinę - nowa służąca w Gimle
Anders - dawniej parobek w Gimle, wrócił po dwóch latach spędzonych na morzu
Signe - gospodyni sierocińca
Line - siostra Signe, pracuje w sierocińcu
Pernille - niemowlę znalezione przez Blanche na schodach jej domu
Anna Karoliusdatter - służąca w sierocińcu, matka Pernille
Peder Johan Munthe - nowy pastor
Pani Agnes - wdowa, bratowa i gospodyni pastora
Greger Langaard - zarządca Ladefoss
Marinius - parobek w Ladefoss
Pan i pani Aaroe - małżeństwo, które zaopiekowało się osieroconymi Amalie i Mathiasem
Dyrektor banku Schmidt i jego żona - rodzice pani Aarae
Panna Marstrand - strażniczka w szpitalu dla obłąkanych

1

Ladefoss,

21 listopada 1884 roku

Marinius wrzasnął i odskoczył od niej jak oparzony. Jego dłoń błyskawicznie powędrowała na zranione ramię. Spomiędzy brudnych palców, po grzbiecie dłoni zaczęły ściekać strużki krwi.

Siekiera wysunęła się z jej rąk i głucho uderzyła w klepisko.

Wyminąwszy parobka rzuciła się do wyjścia, szarpnęła za drzwi i co sił w nogach wybiegła na dziedziniec. Zaraz potknęła się jednak o nierówność gruntu i przewróciła się.

Odwróciła się i usłyszała, jak krzyk bólu Ma-

riniusa zastąpiony zostaje wartkim potokiem przekleństw.

Miała właśnie podnieść się z powrotem na nogi, gdy usłyszała za swoimi plecami, jak parobek kopniakiem otwiera drzwi szopy.

- *Ty żaloszna babo!* - ryczał biegnąc do niej i trzymając się za krwawiące ramię. Jego twarz ściągnęła się ze złości, oczy ciskały gromy.

Wstała, z rozpaczą rozejrzała się wokół, szukając pomocy. Gdzie się wszyscy podziali?

Zaczęła biec w stronę domu, gdy w drzwiach ukazała się jedna za służących z koromysłami na ramionach. Dziewczyna zauważyła ich natychmiast, odstawiła wiadra na ziemię i wbiegła z powrotem do domu. Abelone usłyszała, jak głośny raban robi wewnątrz.

Jeszcze raz obejrzała się przez ramię, zobaczyła zgiętego w pół Mariniusza. Niepewnie trzymał się na nogach, chwiejąc się upadł na jedno kolano. Zmroziło ją. Co się stanie, jeśli zraniła go poważnie? Krwawił w każdym razie mocno, jego kamizelka całkiem pociemniała od krwi.

Zatrzymała się, stanęła bezradnie. W tej sa-

mej chwili otworzyły się drzwi wyjściowe i na schody wybiegł pastor Munthe. Służąca stała w drzwiach i wpatrywała się w nią wielkimi, przestraszonymi oczami przycisnąwszy dłoń do ust.

- Pani Ladefoss? Pastor biegł w jej stronę, lecz w następnej chwili zauważył, co się dzieje z Mariniusem. Jego twarz skamieniała. Zatrzymał się przed nią, położył dłoń na jej ramieniu.

- Pani Ladefoss? - powtórzył cicho. Napotkała jego spojrzenie, ale nie zdołała wydusić z siebie nic sensownego.

- On... on... - słowa utknęły jej w gardle.

- *Pomóż mi, ktoś musi mi pomóc.* Odwróciła się do Marinius, który klęczał

zgięty w pół, przyciskając dłoń do ramienia. Pastor pospieszył w stronę parobka, przykucnął przy nim. Abelone słyszała, jak pastor Munthe coś mówi, ale nie potrafiła rozróżnić słów, Marinius jęczał zbyt głośno.

Cofnęła się o krok, poczuła w gardle narastającą falę mdłości, czuła, jak miękną jej nogi. Marinius napadł na nią w drewnitni, to prawda,

ale jeśli uderzenie siekierą zraniło go poważnie, śmiertelnie?
- *Ta baba próbowała mnie zabić* - słyszała, jak Marinius wypluwa wściekle słowa. Pastor podniósł się i popatrzył w jej stronę.

- Pani Abelone?

Abelone odwróciła się w stronę pani Agnes, która właśnie wyszła na schody w towarzystwie Gregera Langaarda, zarządcy. Gospodyni pastora patrzyła przez moment na Mariniususa ze zdumieniem, by zaraz pospieszyć do Abelone. Greger, który właśnie odszedł od łóżka ojca, podbiegł do pastora Munthe i Mariniususa.

- Co się stało? - pani Agnes popatrzyła na Abelone wyraźnie przestraszona.

Abelone rzuciła szybkie spojrzenie parobkowi, który podniósł się już i stał teraz chwiejąc się mocno na nogach. Wymachiwał ramionami, a pastor i zarządca dokładali starań, by go uspokoić.

- On... - znów nie zdołała nic powiedzieć. Pani Agnes położyła rękę na jej ramieniu i delikatnie je ścisnęła. - Proszę pójść ze mną,

pani Abelone - Abelone pozwoliła poprowadzić się w stronę schodów - Czy zrobił coś pani? -zapytała cicho pani Agnes.

Abelone nie potrafiła na nią patrzeć, starała przypomnieć sobie, co się stało. - On... on próbował... - zamilkła.

- Abelone, musi pani powiedzieć, co się tam wydarzyło - prosiła pani Agnes z naciskiem.

Abelone odwróciła się do niej, usiłowała uporządkować myśli. - Próbował, ale go powstrzymałam. Ja... ja... - łzy napłynęły jej do oczu, gdy popatrzyła na parobka. - Ja uderzyłam go siekierą.

Abelone słyszała, jak Marinius nadal rzuca na nią wyzwiska.

- W takim razie dostał to, na co zasłużył -powiedziała pani Agnes z zaciętym wyrazem twarzy. - Proszę tu zaczekać.

Szybkim, zdecydowanym krokiem podeszła do mężczyzn, zamieniła kilka słów z pastorem i wróciła do Abelone.

- No już, Abelone, wejdźmy do środka. Greger i pastor zajmą się Mariniusem.

Abelone pokręciła głową. Mały Erik. Musiała wracać do domu, do Erika. To z jego powodu przyjechała do Ladefoss, miała przynieść zapomniany smoczek. Jej syn nie potrafił bez niego zasnąć, płakał cały czas. - Muszę wracać do domu - powiedziała, próbując opanować trzęsący się głos. Agnes ujęła ją za ramię, popatrzyła na nią prosząco.

- Drzy pani, Abelone, proszę wejść do środka. Jestem pewna, że Mały Erik może dostać swój smoczek później.

Abelone pokręciła głową, popatrzyła na Mariniususa, który już zamilkł. Pastor mówił coś do niego, ale nie słyszała dokładnie, co. - Muszę wracać do domu - powtórzyła, ale czuła się tak, jakby to nie ona wypowiadała te słowa. Jakby jej to nie dotyczyło. Jakby w jej miejscu stała inna osoba.

Pastor odwrócił się plecami do Mariniususa i podszedł do niej. Zauważyła jego ponurą twarz i chmurne spojrzenie, gdy stanął przed nimi. -Ogromnie mi przykro, pani Ladefoss. Agnes powiedziała mi, że Marinius próbował na panią napaść.

Poruszyło ją, że pastor mówił do niej w taki sposób. Nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się o tym, co się stało. I nic przecież takiego wielkiego się nie wydarzyło, nic, na czym by ucierpiała. A to *ona* skrzywdziła Mariniususa.

Unikała wzroku pastora. - Co z Mariniusem, czy rany... Dlaczego z takim trudem przychodziło jej znalezienie odpowiednich słów? I dlaczego tak się trzęsa?

Pastor posłał Mariniusowi pełne pogardy spojrzenie. - Wydaje się całkiem zwawy.

Odwrócił się znów do Abelone i podszedł krok bliżej. Pani Agnes poszła do parobka, Abelone usłyszała, że nakazuje Mariniusowi zdjąć kamizelkę.

- Pani Ladefoss, czy jest pani pewna, że nie wydarzyło się nic, co... - zaczął pastor cicho.

- Nic mi nie zrobił - przerwała mu, śledząc wzrokiem panią Agnes, która właśnie zabierała się za oględziny rany.

- Pani Ladefoss, musi mi pani o tym powiedzieć, jeśli stało się coś, co...

Popatrzyła na pastora, zrozumiała, że chce

upewnić się, jak poważnie ucierpiała na tym wydarzeniu. - Nie udało mu się doprowadzić do tego, do czego zmierzał - poprawiła się. Niewłaściwym było mówienie, że *nic* jej nie zrobił.

Ze stężałą twarzą podszedł do nich także Greger. - Co za świnia - syknął i popatrzył na Abelone.

Przełknęła ślinę, wbiła wzrok w ziemię. - Czy jest bardzo ranny? - zapytała cicho. Czowała przecież sama, jak ostrze zagłębiało się w ramię parobka.

- Cięcie jest głębokie, ale nie poważne - ocenił zarządca.

Poczuła się, jakby z jej piersi zdjęto wielki ciężar, nie czuła już słabości w nogach, przerażające uczucie kołysania się na skraju przepaści powoli ustępowało.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak niespokojnie zachowuje się Rimfakse, próbował gryźć wędzidło i ciągnął za wodze, którymi go przywiązała. Pospieszyła w jego stronę.

Pastor poszedł za nią. - Ależ pani Ladefoss,

nie zechce pani wejść i odetchnąć trochę? Coś takiego... To musiało być dla pani przerażające.

Popatrzyła na pastora odwiązując wodze i wdrapała się na grzbiet konia.

- Muszę wracać co domu - powiedziała tylko, chociaż widziała jak bardzo jest zmartwiony. Powoli podjechała do Mariniususa i wbiła w niego rozeźlone spojrzenie. Parobek popatrzył jej w oczy i najwyraźniej nie zamierzał odwracać wzroku. Jego twarz miała wojowniczy wyraz, w oczach czaiła się groźba. Jakby to *on* miał jakikolwiek powód, żeby nienawidzić *jej*.

Zarządca, gospodarstwa miał rację.

Parobek okazał się skończoną świnią.

Ellen podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Wyrzała do ogrodu. Dwie kobiety spacerowały obok siebie po wysypanej żwirem ścieżce prowadzącej do herbarium. Może była to jedna ze strażniczek i pacjentka? Wątpiła, by pacjentom wolno było samotnie spacerować po ogrodzie. Nawet *ona*, która przyjechała tutaj jedynie dla odpoczynku, została zamknięta na klucz w swoim pokoju. Oczekiwała na lekarza, który miał tu przyjść i z nią porozmawiać.

Westchnęła, spojrzała na drzwi. Czy upłynie jeszcze dużo czasu, zanim lekarz się pojawi? Burczało jej w brzuchu, od ostatniego posiłku minęło już kilka godzin. Może jedna ze

strażniczek wkrótce przyniesie jej jedzenie? Czy może posiłki spożywano tu wspólnie? Pamiętała, że panna Marstrand mówiła coś na ten temat, ale wszystko było takie nowe, że czuła się zupełnie zdezorientowana i zapomniała większość z tego, co powiedziała jej strażniczka.

Podeszła do drzwi, stała i nasłuchiwała. Słyszała, jak ktoś gra na pianinie w miejscu, które musiało być chyba pokojem dziennym. Na szczęście miała mieszkać w tym skrzydle dla dobrze sytuowanych kobiet. Byłaby przerażona, gdyby umieszczono ją na tym wielkim oddziale, przez który niedawno przechodziła.

Usiadła z powrotem na łóżku, nie przychodziło jej do głowy nic innego, co mogłaby tu zrobić. Panna Marstrand zabrała jej książki, przybory do pisania i robótki ręczne, które zabrała z domu. Powiedziała, że tego właśnie wymaga profesor Calmeyer. Uważał, że pacjenci powinni mieć ze sobą tak mało przedmiotów ze swojego normalnego życia, jak to tylko możliwe. Sama nie widziała zbyt wielkiej różnicy między jej własnymi rzeczami, a tymi będącymi wła-

snością szpitala. Widziała w pokoju dziennym kobietę z robótką w ręku. Robótka to robótka, czyż nie?

Wyostrzyła słuch, wydawało się jej, że słyszy kroki i brzęczenie kluczy w korytarzu.

Do zamka w jej drzwiach włożono klucz.

Ellen poderwała się z miejsca i nerwowo wygładziła materiał sukni. W pomieszczeniu nie było żadnego lustra, ale kiedy dotknęła swoich włosów, wydało się jej, że leżą tak, jak powinny.

Panna Marstrand otworzyła drzwi i ustąpiła miejsca w przejściu młodemu, jasnowłosemu mężczyźnie.

- Pani Bjerregaard, oto lekarz oddziałowy, doktor Juul, porozmawia chwilę z panią. Potem w jadalni podany będzie obiad - dodała z uśmiechem.

Lekarz kiwnął głową w stronę panny Marstrand, widać było, że oczekuje, by zamknęła za sobą drzwi i odeszła.

Ellen nie wiedziała, co o nim myśleć. Jego twarz była kamienna i pozbawiona wyrazu, gdy się z nią witał. Profesora Calmeyera polubiła

od razu, był otwarty i przyjazny. Ale ten lekarz był innym typem człowieka. Zauważyła też, że jest dużo młodszy, wyglądał na niewiele więcej niż trzydzieści lat i był jej wzrostu. Trochę lat odejmowały mu na pewno piegi sypiące się na zadartym nosie, który jednak w połączeniu z zaciętym wyrazem ust sprawiał, że mężczyzna robił wrażenie trochę wyniosłego. Z jasnym kolorem włosów kontrastowały ciemne oczy.

Wskazał ręką krzesło stojące przy małym sekretarzyku obok okna.

- Usiądzie pani, pani Bjerregaard? Usiadła oczekując, że będzie mówił dalej, ale

zamiast tego dłuższą chwilę poświęcił wczytywaniu się w protokół, który miał przed sobą. Po jakiś czasie powoli pokiwał głową.

- Widzę, że zabrała pani ze sobą całkiem sporo rzeczy z domu?

Ellen przełknęła ślinę, próbując rozluźnić zaciśnięte z nerwów gardło.

- Miałam ze sobą trochę książek i kilka robótek ręcznych - wyjaśniła, choć była pewna, że lekarz doskonale wie, co ze sobą przywiozła.

- I przybory do pisania, jak widzę? - uniósł znad protokołu badawcze spojrzenie. - A także pewną ilość ubrań - ciągnął, ale widać było, że nie oczekuje odpowiedzi. Podszedł do szafy na ubrania i otworzył ją.

- Panna Marstrand zabierze pani większość ubrań, będzie pani miała tylko to, co najbardziej niezbędne - powiedział zdecydowanie.

Wszystko burzyło się w niej. Dlaczego chcą zabrać jej ubrania? I inne rzeczy, które ze sobą wzięła? Przyjechała tutaj, żeby odpocząć i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego było to takie niezbędne. Profesor Calmeyer prosił ją wprawdzie, żeby wzięła ze sobą tylko to, co konieczne, ale poczuła się rozczarowana, że nie mogła zatrzymać swoich rzeczy. Jakby nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Zebrała się na odwagę. Pamiętała, że panna Marstrand powiedziała, że to lekarzy musi zapytać, dlaczego nie może zatrzymać swoich rzeczy.

- Czy mogłabym zapytać, dlaczego mogę zachować tylko to, co najpotrzebniejsze? - zapytała, ale zaraz zirytowała się na samą siebie, gdyż

jej głos brzmiał słabo i niezdecydowanie. Wyprostowała plecy, nie miała żadnych powodów, żeby zachowywać się unżenie wobec lekarza.

Doktor Juul popatrzył na nią z ukosa i z początku nic nie odpowiedział. Nie była pewna, czy podoba się jej jego spojrzenie. Wydawał się niemile zaskoczony jej pytaniem. - Proszę zrozumieć, że musi pani nauczyć się podporządkowywać zasadom, które panują w naszym szpitalu, droga pani - powiedział pozbawionym wyrazu głosem.

Próbowała zrozumieć jego słowa. Nie udzielił jej żadnych wyjaśnień, powiedział tylko, że tak nakazują reguły. - Ale nie rozumiem... - próbowała zaprotestować. - Byłabym w każdym razie bardzo zadowolona, gdybym mogła zachować przynajmniej kilka moich książek.

Lekarz podszedł do drzwi, przystanął i przez chwilę mierzył ją wzrokiem. - Czy podporządkowanie się regułom jest dla pani takie trudne, pani Bjerregaard?

Jego pytanie zbiło Ellen z tropu. - Nie wiem, czy dobrze rozumiem... - zaczęła.

- To jest proste pytanie, pani Bjerregaard -przerwał jej -
Mamy tutaj, w naszym szpitalu, pewien zbiór zasad, których
nasi pacjenci muszą przestrzegać - ton jego głosu był teraz
ostry, a oczy zwęziły się, jakby się nad czymś zastanawiał. -
Pacjenci, którzy znajdują się na tym oddziale mają sporo
szczęścia, ale powinni wiedzieć, że oczekujemy, że będą
świadomi konieczności podporządkowania się regułom.

Nas jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech, który - jak
wydawało się Ellen - miał złagodzić ostry ton wypowiedzianych
słów. -Zdaniem profesora Calmeyera kobiety z wyższych klas
w większym stopniu posiadły zdolność przystosowania się, a
ich umysły są miększe i dają się łatwiej formować niż umysły
kobiet z niższych klas społecznych - założył ręce na plecach. -
Nazwałbym to obyciem.

Sposób, w jaki mówił, wprowadził ją w dezorientację. Czy
oczekiwał, że na to odpowie?

- O ile zrozumiałem, jest pani w dobrym zdrowiu? - ciągnął
opuszczając znowu wzrok na swoje papiery.

Kiwnęła głową. - Tak, nic mi nie dolega - odpowiedziała.

Znów napotkała jego zagadkowe spojrzenie, jakby ją oceniał.

- Cóż, pani Bjerregaard, rozumiem, że postrzega pani samą siebie jako zdrową, ale moim obowiązkiem jest wyjawić pani cel pani pobytu w szpitalu - zamilkł na chwilę. - Pani mąż, pan Ulrik Bjerregaard, szczegółowo wyjaśnił profesorowi Calmeyerowi, że uparcie twierdzi pani, że widzi pani i słyszy zmarłych ludzi?

Wpatrywała się w lekarza. Sposób, w jaki to powiedział... to nie było *tak*. Jak mogłaby wytłumaczyć to, co przeżyła w swoim własnym domu? O tej małej dziewczynce? Słowa nie chciały ułożyć się jej w głowie, a już na pewno przejść przez usta. Bo jak miałyby wyjaśnić, że ta mała dziewczynka, Emily, nie mogła odnaleźć spokoju po swojej tragicznej śmierci w pożarze? Jak miałyby wyjaśnić, że widziała to dziecko krzyczące pośród liżących je płomieni? Że słyszała, jak woła o pomoc? Że Emily ścisnęła w dłoniach swoją lalkę, która topiła się od gorąca? I co po-

myślałby lekarz, gdyby opowiedziała mu o głosie, który słyszała na dole, w piwniczce? O głosie, który wzywał Emily? I o tym, że wydawało się jej, że to matka Emily wołała córkę? Matka Emily, która leżała bezradnie w piwnicy i która później umarła na zapalenie płuc.

Nie wiedziała, co działo się niegdyś w miejscu, w którym stał jej dom, ale *coś* działo się tam na pewno.

I czy mogła obwiniać Ulrika za to, że sądził, iż jego żona powoli zaczyna tracić zmysły? Nietrudno było jej zrozumieć, że on i lekarze uważali, że tak się właśnie dzieje. Zaczęła tracić nawet zaufanie do samej siebie, gdyż Ulrik nigdy nie wyczuł w domu niczego niezwykłego.

Elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca dopiero w dniu, kiedy pan Skagen, sąsiad, opowiedział jej o pożarze, który dotknął małą rodzinę mieszkającą tam przed nimi. Nie potrafiła wyobrazić sobie, żeby *nie miało* to związku z jej odczuciami.

Napotkała wyczekujące spojrzenie doktora Juula, wiedziała, że oczekuje od niej odpowie-

dzi. Najbardziej miała ochotę odpowiedzieć, że to, co napisano w dokumentach jest nieprawdą, ale nie mogła przecież zaprzeczać czemuś, co sama przeżyła. Wcześniej wydawało się jej, że przynajmniej część z tego to sny, ale teraz była pewna swego. *Była pewna* tego, co usłyszała i co zobaczyła, była pewna, że to nie były jej wymysły.

- Ma pan rację - powiedziała twardo. - Ponad trzydzieści lat temu mała dziewczynka zginęła w pożarze w domu, który stał wtedy w miejscu naszego. Słyszałam ją i widziałam, jak wzywa swoją matkę i prosi ją o pomoc - musiała przełknąć ślinę i odwrócić wzrok. To *naprawdę* się wydarzyło, upomniała się. Dziecko umarło straszliwą śmiercią, a rodzice nie mogli mu pomóc.

Ellen znów spojrzała na lekarza, widziała jak wpatruje się w nią z przejęciem, jakby zadowalało go takie wyjaśnienie. Może uważał ją za interesujący przypadek.

- Wydaje mi się, że dziewczynka nie odnalazła po śmierci spokoju - ciągnęła patrząc na

swoje dłonie i bawiąc się obrączką. - Nazywała się Emily. Emily Vintertorn.

Jej słowa zawisły na chwilę w powietrzu, dziwnie było wymawiać imię tej dziewczynki. Lekarz nic nie odpowiedział, ale widziała, że przygląda się jej badawczo. Minęła chwila zanim odpowiedział.

- Cóż, pani Bjerregaard, mamy najgłębszą nadzieję, że z czasem zrozumie pani, że to, co pani widzi jest wyłącznie projekcją pani wyobraźni.

Wpatrywała się w niego, pamiętała rozmowę, którą odbyła z profesorem Calmeyerem. *On* rozumiał, że jej przeżycia były prawdziwe. To dlatego zgodziła się na ten pobyt rekonwalescencyjny.

- Profesor Calmeyer jest innego zdania - odpowiedziała, ale pożałowała tej ostrej riposty, gdy zobaczyła, jak usta jej rozmówcy zaciskają się w wąską linijkę.

Opuściła wzrok, czuła, jak znowu zaczyna burzyć jej w brzuchu. Początek jej pobytu tutaj okazał się być zupełnie inny, niż sobie wyobrażała.

- Bardzo chciałabym porozmawiać z profesorem Calmeyerem
- poprawiła się i znów podniosła wzrok na doktora Juula.

Lekarz napotkał jej spojrzenie. - Zrelacjonuję mu naszą rozmowę - podszedł do drzwi. - Jestem pewien, że będzie pani mogła porozmawiać z nim przy innej okazji. Otworzył drzwi i wychodząc na korytarz posłał jej jeszcze wymuszony uśmiech.

Ellen wstała, zmęczona rozmową. Miała nadzieję, że nie będzie musiała mieć zbyt wiele do czynienia z doktorem Juulem w najbliższych dniach.

W końcu ukazała się panna Marstrand i Ellen słyszała, jak zamieniają cicho kilka słów z doktorem Juulem. Po chwili lekarz zniknął, a strażniczka weszła do jej pokoju. Miała łagodny, niemal przeproszający wyraz twarzy.

- Doktor Juul mówi, że pani drzwi mogą pozostać otwarte w ciągu dnia, pani Bjerregaard, ale, niestety będę musiała zabrać część pani ubrań.

Ellen kiwnęła głową, nie miała siły protestować. Kobieta posłała jej pocieszający uśmiech.

- Ale najpierw musimy panią nakarmić. W jadalni właśnie zaserwowano obiad - gestem nakazała Ellen podążyć za sobą. - Pokażę pani drogę.

Panna Marstrand szybkim krokiem ruszyła w dół korytarza i weszła do salonu.

- To pokój dzienny - wyjaśniła. - Jak pani widzi, mamy tutaj książki i pianino - panna Marstrand popatrzyła na nią pytająco.

- Gra pani na pianinie, o ile dobrze zrozumiałam?

To Ulrik musiał im to powiedzieć. Co jeszcze im o niej opowiedział? Ellen kiwnęła głową. - Tak, zgadza się.

- Jak miło. Może będzie mogła nam pani umilić czas.

Ellen rozglądała się po salonie idąc za panną Marstrand. Pomieszczenie było bardzo przyjemnie urządzone, na podłodze leżały kosztowne dywany, wstawiono eleganckie meble. Niewiele przypominało o tym, że znajdują się w szpitalu dla obłąkanych.

- A tutaj mamy jadalnię - rzekła panna Marstrand stając w drzwiach do następnego pomieszczenia.

Ellen zajrzała do następnego pokoju. Zgodnie ze słowami strażniczki obiad właśnie podano, a pięć siedzących wokół stołu kobiet z zainteresowaniem spoglądało na Ellen.

Dalej, pod oknem, siedziała strażniczka w takim samym niebieskim uniformie, jaki nosiła panna Marstrand.

- To jest pani Bjerregaard - wyjaśniła panna Marstrand i wyciągnęła rękę w stronę ostatniego wolnego miejsca przy stole. - Proszę usiąść, a ja zaraz zadbam, żeby pani także podano posiłek.

Ellen czuła na sobie spojrzenia pozostałych kobiet, gdy podchodziła do swojego miejsca i siadała.

Cisza, która zapadła, krępowała ją, ale Ellen nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Bo co się mówiło spotykając kogoś po raz pierwszy w szpitalu dla obłąkanych?

- Myślę, że powinnyśmy się przedstawić - zaproponowała siwowłosa, wyprostowana jak struna dama.

Ellen cieszyła się, że to ona rozpoczęła roz-

mowę, na twarzach innych kobiet także malowała się ulga. Dama wyglądała na najstarszą z nich, być może pozostałe oczekiwały, że to ona będzie prowadzić tę rozmowę.

- Nazywam się Figenschou - przedstawiła się. Ellen zwróciła uwagę na jej nieco dziwaczny akcent, którego pochodzenia nie potrafiła odgadnąć. - Pochodzę ze Szwecji, ze Sztokholmu, ale całe swoje dorosłe życie spędziłam w Norwegii - powiedziała i zaraz przedstawiła Ellen pozostałe kobiety. Ellen próbowała zapamiętać ich nazwiska, ale od razu zdała sobie sprawę z tego, że nie zdoła zanotować w pamięci wszystkich. Popołudnie obfitowało w zbyt wiele nowych wrażeń, zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie.

Panna Marstrand weszła, niosąc jej posiłek, smażoną wątróbkę, solone mięso i warzywa. -Widzę, że zapoznała się już pani z pozostałymi mieszkankami - powiedziała z zadowoleniem. -To bardzo rozsądnie z pani strony. Czas w szpitalu upłynie pani o wiele przyjemniej, jeśli spędzi go pani w miłym towarzystwie.

Strażniczka znów zniknęła i Ellen zaczęła jeść, chociaż nie była już głodna. To znaczy nadal odczuwała głód, ale jedzenie nie smakowało jej. Wydawało się jej, że winę za to ponosi ściśnięty z nerwów żołądek. Poza tym czuła się obserwowana przez inne kobiety.

Ellen zwróciła uwagę na to, że pani Figenschou nie zdradziła powodów, dla których każda z nich przebywała teraz w szpitalu. Ellen była z tego nawet zadowolona, bo wiedziała, że sama nie będzie miała ochoty opowiadać o przyczynach swojego tu pobytu. Jednocześnie musiała przyznać, że była zaciekawiona. Szczególnie zainteresowała ją młoda dziewczyna przy końcu stołu. Musiała być mniej więcej w jej wieku, ale jej ciało składało się chyba wyłącznie ze skóry i kości, nawet suknia nie ukrywała jej chorobliwej chudości. Ledwo tknęła stojący przed nią obiad. Ellen przypomniała sobie, że pani Figenschou przedstawiła ją jako pannę Cecilie.

Kobieta w średnim wieku o stalowopopielatych, gęstych włosach, siedząca naprzeciwko Ellen, nachyliła się nad stołem.

- Z czasem zrozu-

mie pani, że panna Marstrand jest jedną z najsympatyczniejszych strażniczek - powiedziała cicho, rzucając szybkie spojrzenie na inną strażniczkę siedzącą przy oknie. Wyglądała tak, jakby pogrążona była w pólśnie, pomyślała Ellen.

- Jest miła, nie tak jak pani Lognvig.

Ellen zrozumiała, co jej rozmówczyni miała na myśli. Krótkie spotkanie ze wspomnianą strażniczką nie należało do najprzyjemniejszych. Pozostałe kobiety pokiwały głowami i wymieniły spojrzenia.

- A ten nowy lekarz oddziałowy... - kilka ze zgromadzonych wzniosło oczy ku niebu.

- Mają panie na myśli pana Juula? - zapytała. Kobieta naprzeciwko położyła palec na ustach i kiwnęła lekko głową w stronę strażniczki.

Ellen zrozumiała. Musi mówić ciszej.

Pani Figenschou kiwnęła głową. - Nie pracuje tu dłużej niż kilka tygodni.

Na twarzy kobiety naprzeciw odmalowała się rezygnacja.

- Poprzedni był dużo sympatyczniejszy.

- Doktor Juul traktuje nas tak, jakbyśmy przebywały na którymś z innych oddziałów - powiedziała pani Figenschou z urażoną miną. Z wyraźnym apetytem pochłaniała swoją porcję.

Pozostałe zaczęły się śmiać, ale strażniczka natychmiast zaczęła je uciszać. Kobieta naprzeciw znów przewróciła oczami.

- To ważne, żebyśmy miały *spokój* - wyjaśniła cicho.

Nagle przy końcu stołu rozległ się głuchy łoskot.

- *Cecilia!* - wykrzyknęła pani Figenschou. Wszystkie zgromadzone przy stole kobiety poderwały się z miejsc, strażniczka natychmiast do nich podbiegła.

Ellen stała z boku. Cecilia, ta młoda, chuda dziewczyna, leżała na podłodze, a strażniczka klepała ją po policzku, próbując ocucić.

- Proszę usiąść na swoich miejscach - zakomenderowała surowo. - Panienka potrzebuje powietrza.

Z wahaniem wróciły na swoje krzesła, podczas gdy strażniczka zaczęła energicznie dzwonić dzwonkiem, który nosiła w kieszeni.

Po chwili przybiegła panna Marstrand w towarzystwie innej kobiety. Ellen nie widziała jej wcześniej.

Panna Marstrand przytrzymała Cecilie za ramiona, podczas gdy druga strażniczka otworzyła małą szklaną buteleczkę i przystawiła ją dziewczynie do nosa. To pewnie sole trzeźwiące, pomyślała Ellen.

Po chwili młoda kobieta odzyskała przytomność.

- Pomożemy pani wrócić do pokoju - powiedziała panna Marstrand uspokajająco i razem z drugą strażniczką wyprowadziły Cecilie z jadalni.

Cisza wisiała w powietrzu, gdy kontynuowały posiłek. Co się stało? Czy młoda kobieta była chora? Jej skóra była nieprawdopodobnie blada, a pod oczami kładły się cienie. Ellen wydawało się, że Cecilia musi być piękną kobietą, ale niełatwo było to w niej dostrzec z powodu jej chudości.

- Panna Cecilia odmawia jedzenia - wyjaśniła pani Figenschou cicho.

Ellen patrzyła na nią z niedowierzaniem. Nie można przecież przestać jeść.

- Jest córką adwokata Wergelanda - dodała kobieta siedząca naprzeciw.

Ellen nie wiedziała, kim jest adwokat, ale nie było wątpliwości, że wszystkie zgromadzone wokół stołu damy pochodziły z wysoko postawionych rodzin. Nosiły eleganckie ubrania, poza tym zachowywały się z ogładą.

Małymi łyżkami popijała wodę, dyskretnie przyglądając się im po kolei. Zajęte były właśnie roztrząsaniem sprawy Cecylii.

To, co wydarzyło się przy obiedzie, przestraszyło ją nie na żarty, ale cieszyła się, że jej towarzyszki wyglądały na spokojne osoby. Dlaczego tutaj były? Nie wyglądały wcale na chore.

Przypuszczała, że każda z nich ma swoją własną historię.

Blanche poprawiła białą wstążkę we włosach Helene Augusty. Włosy jej córki były tak gęste, błyszczące i śliskie, że wstążka wciąż zsuwała się z nich.

- Kiedy fotograf będzie robił zdjęcie, musisz siedzieć zupełnie spokojnie, dobrze? - nachyliła się nad córką. - Tak jak się umówiliśmy, pamiętasz?

Helene Augusta kiwnęła głową i potarła oczy. Blanche pogłaskała ją po okrągłym policzku. Dziewczynka była śpiąca, nadal miała w zwyczaju ucinać sobie krótką drzemkę w środku dnia.

Fotograf Blomquist, sympatyczny, niski mężczyzna około sześćdziesiątki, podszedł do nich.

- Tędy proszę, drodzy państwo - poprosił i wskazał im drogę do dużego pomieszczenia. - Czy zechcą państwo zająć miejsce na podwyższeniu?

Podeszli do podium, które wyglądało jak mała scena teatralna. Po jednej stronie z sufitu spływała miękko ku podłodze granatowa zasłona z welwetu związana sznurem ze złotymi frędzlami. Na środku podwyższenia stało krzesło z wysokim oparciem zdobionym precyzyjnie wyciętymi ornamentami. Za krzesłem znajdowało się wielkie malowidło w pastelowych barwach, przedstawiające zamek z przepięknym różanym ogrodem.

- Czy mogłaby pani usiąść na krześle, pani Bjerkeley? Wtedy będzie pani mogła posadzić sobie córeczkę na kolanach. A pan, panie Bjerkeley, niech stanie za krzesłem, trochę z boku.

Blanche usiadła i posadziła sobie Helene Augustę na kolanach. Pilnowała, żeby wstążka trzymała się równo we włosach i żeby nowy wisiołek z perłą leżał dobrze na sukience.

Fotograf Blomquist cofnął się o krok i przyj-

rzał się im. - Panie Bjerkeley, może mógłby pan stanąć nieco bliżej żony? Może pan także położyć prawą dłoń na jej ramieniu, jeśli pan zechce.

Alf zrobił to, o co go proszono, a fotograf zniknął za wielkim aparatem ustawionym na trójnogu. Asystent przykrył jego głowę i ramiona zasłoną.

- Ważne, żeby się państwo nie ruszali dotąd, aż powiem, że zdjęcie jest zrobione - wyjaśniał fotograf.

Helene Augusta zaczęła się wiercić, ale Blanche przytrzymała ją. - Musisz siedzieć zupełnie nieruchomo - upomniała ją. - Później pójdziemy do cukierni i zjemy ciastko.

Nie wydawało się jej, żeby córka знаła słowo cukiernia, ale ciastko - *to* słowo znała. Helene Augusta znieruchomiała jak słup soli.

Ostry błysk światła wydobył się z aparatu i wkrótce fotograf wyłonił się zza urządzenia.

- No, to gotowe - powiedział wesoło podchodząc do nich. Z uśmiechem uszczypnął Helene Augustę w policzek.

- Cierpliwa z ciebie dziewczynka, tak grzecz-

nie usiedziałaś na miejscu. Powiem ci w tajemnicy, że nie wszystkie dzieci tak potrafią - wymruczał cicho.

- Ile czasu upłynie, zanim fotografia będzie gotowa? - zapytał Alf.

Blanche wiedziała, że akurat on nie cieszył się za bardzo na wizytę u fotografa, ale jej zdaniem miło będzie mieć zdjęcie rodzinne. Czas płynął tak szybko, wydawało się jej, że Helene Augusta rośnie z każdym upływającym dniem.

- Fotografia będzie gotowa dopiero za tydzień - powiedział fotograf przepaszająco. - Jadę na południowy wschód, do Smaalenene, a niestety, nie zdążę jej przygotować przed wyjazdem.

Alf uścisnął dłoń fotografa. - Nie ma pośpiechu.

Włożyli płaszcze i wyszli na ulicę. Alf wziął Helene Augustę na rękę. Córka uśmiechnęła się z zachwytem i objęła ojca za policzki. Blanche uśmiechnęła się na ich widok. Alfa nie było przy nich przez pierwszy rok życia Helene Augusty, ale teraz ubóstwiali się nawzajem.

- Idziemy do cukierni? - zapytał Alf.

- Ciastko - odpowiedziała Helene Augusta szybko i uśmiechnęła się najśłodszym ze swoich uśmiechów.

Mieli właśnie usadowić się w powozie, gdy w głębi ulicy zamajaczyła im dobrze znana sylwetka śpiesząca w ich stronę.

- To adwokat Hellestad - powiedziała Blanche.

- Och, to pani, pani Bjerkely - powiedział zdyszany adwokat z uśmiechem - Powinienem był porozmawiać z panią wcześniej, ale obawiam się, że nie wystarczyło mi czasu - korpulentny mężczyzna zdjął cylinder i osuszył czoło chusteczką. - Jestem właśnie w drodze do klienta, rozumie pani, czas nagli.

Blanche uśmiechnęła się do niego. - W takim razie nie będę pana zatrzymywać, panie Hellestad.

Adwokat pokręcił szybko głową. - Wcale mnie pani nie zatrzymuje, pani Bjerkely - powiedział i poklepał Helene Augustę po policzku. - Ale dostałem informacje o czymś, o czym powinna pani wiedzieć. Nie będzie to miało dla

pani żadnych konsekwencji, ale mimo wszystko chciałbym pani powiedzieć, że wuja pani zmarłego męża, Carla von Wittenheima, nie ma już pośród żywych.

Blanche popatrzyła na niego zdezorientowana. Wiedziała, że dziadeczek był w bardzo złym zdrowiu, kiedy wyjeżdżał do Niemiec, ale nie był śmiertelnie chory.

- Czy dawno temu zmarł? Hellestad wzruszył ramionami. - Dowiedziałem się o tym kilka dni temu, ale z tego, co rozumiałem, pan Wittenheim zmarł krótko po swojej przeprowadzce do Niemiec.

Blanche wymieniła spojrzenia z Alfem. Wuj Oskara nigdy nie doszedł do siebie po tym, co zrobiła mu Karen.

- Nie był zdrowy, kiedy wyjeżdżał z Norwegii - odpowiedział Alf cicho. - Rany, które zadała mu Karen, były bardzo poważne.

Adwokat kiwnął głową. - Tak też zrozumiałem - westchnął. - Jego śmierć nie będzie miała dla pani żadnych konsekwencji, pani Bjerkeley, ale pomyślałem, że chciałaby pani o tym wiedzieć.

Blanche kiwnęła głową. - Dziękuję panu za informacje - nagle uderzyła ją pewna myśl. -A co stanie się z Rosenlowe?

Rodzice Oskara nie żyli i nie znała też żadnych innych krewnych von Wittenheimów. Oskar był jego jedynym dziedzicem.

Hellestad pokręcił głową. - Nie wiem jeszcze dokładnie, ale Rosenlowe ma mieć nowego właściciela. Możliwe, że Carl von Wittenheim miał dalekich krewnych w Niemczech albo spisał testament. Ale to nie jest jeszcze pewne.

Skłonił się lekko i założył cylinder. - Niestety, muszę iść dalej - przeprosił.

Wdrapali się do powozu i usiedli. Blanche rozmyślała o wuju Oskara, o tym, jak Karen niemal go zabiła i jak ona sama ją przed tym powstrzymała. Karen mimo wszystko zakończyła jednak jego życie, nawet po swojej własnej śmierci.

Powóz podskakiwał na kocich łbach, na wpół stopiony śnieg leżał w szczelinach bruku.

Popatrzyła na córkę, która siedziała oparta o nią. Ostrożnie otuliła ją szczelniej kożuchem.

- Zasnęła - wyszeptała do Alfa.

Alf spojrział na dziewczynkę, by za chwilę przenieść wzrok na Blanche i uśmiechnąć się do niej. Sposób, w jaki na nią patrzył, rozgrzewał jej serce.

Miała tyle szczęścia, że los obdarzył ją taką rodziną.

Blanche otworzyła notatnik ojca i prześliznęła się wzrokiem po stronach. Próbowała zapomnieć o spotkaniu, które odbyła z trzema skrytymi pod pelerynami braćmi w loży, ale nie mogła przestać zastanawiać się nad ich tożsamością. Wydawało się jej, że jednym z nich był dyrektor banku Schmidt, teść pana Aarae. Ale kim było dwóch pozostałych? Nie wiedziała i coraz bardziej jej to doskwierało. Wiedzieli, że skłamała im o śmierci Oskara, wiedzieli, że nie odebrał sobie życia sam.

Westchnęła głęboko. Członkowie loży powiedzieli, że nie zdradzą jej tajemnicy, jeśli ona nie ujawni informacji, które znalazła w notatniku

ojca. Wyraźnie obawiali się tego, czego dowiedziała się o śmierci poprzedniego wielkiego mistrza. Ojciec nie napisał jednak znów tak wiele o swoich podejrzeniach.

Alf prosił ją, żeby nie myślała już więcej o Oskarze i o loży, jednakże nie potrafiła dać sobie z tym spokoju. Irytowało ją, że bracia nie mogli spotkać się z nią twarzą w twarz, tylko chowali się pod pelerynami.

Kartkowała notatnik ojca.

Spotkanie w Wielkiej Loży. J.P.A i K.L wygłoszę wykład o upadku moralnym naszych czasów.

Blanche przyglądała się inicjałom. Jakie nazwiska kryły się za inicjałami? Zanurzyła pióro w atramencie, zapisała inicjały J.P.A. Któż to mógł być? Czy ojciec znał kogoś o imieniu zaczynającym się na J i nazwisku na A? I o drugim imieniu lub dodatkowym nazwisku na P?

Ancher, Ager, Abildsoe...

Nie, to beznadziejne. A gdyby zapisała wszystkie inicjały, jakie tylko znajdzie, a potem nazwiska wszystkich znajomych mężczyzn z kręgów ojca?

Podeksycytowana pomysłem wróciła do pierwszych stron notatnika ojca i zaczęła wypisywać wszystkie inicjały, na jakie natrafiła. G.H., K.L.M...

Kartka była niemal całkiem zapisana, kiedy jej szczególną uwagę zwróciły trzy litery. W.v.C.

Odłożyła pióro, przeczytała zapiski ojca w tym miejscu. Notatka pochodziła z 1879 roku.

W.v.C. chciałby zostać przyjęty do loży, ale wielki mistrz nie zgadza się, by został jednym z braci. Trudno było mi zrozumieć, jakie mogły być tego przyczyny. Osoba o pozycji W.v.C. mogłaby uczynić wiele dobrego dla naszej loży, lecz wielki mistrz utrzymuje, że nie ma zaufania do W.v.C. Na ile zrozumiałem, chodzi o zaistniały między nimi spór, wskutek którego wielki mistrz poczuł się oszukany.

Blanche poczuła, że robi się jej gorąco. W.v.C. Że też nie wpadła na to wcześniej! Małe „v” nie mogło, jak sądziła, oznaczać niczego innego niż „von”. Znała tylko jedną rodzinę, która miałaby „von” w swoim nazwisku i była to rodzina Oskara, ale inicjały powinny zaczynać się na C, je-

śli nie... Nagle w jednej chwili rozjaśniło się jej w głowie. Inicjały są zapisane wspak. W.v.C. to Carl von Wittenheim!

Wyjęła czystą kartkę i zaczęła zapisywać inicjały we właściwym porządku. Potem wypisała wszystkich znanych sobie znajomych ojca. Wreszcie położyła kartki obok siebie, by łatwiej było jej porównywać inicjały z nazwiskami.

Niektóre z nazwisk i inicjałów połączyła od razu. Był wśród braci zarządca apteki, właściciel największych zakładów garbarskich w Tonsbergu, wielu armatorów, między innymi pan Ager Skottevig, jeden z przyjaciół ojca, który był nadzorcą budowlanym, a także zawiadowca stacji. Nazwiska pana Aaroe i dyrektora Schmidta także znalazły się na liście. Siedziała i wpatrywała się w nazwiska. Pozostało jeszcze wiele inicjałów, których nie udało się jej odszyfrować, nie mogła też być pewna, czy te, które wypisała, odczytała właściwie.

Jednocześnie nie sposób było nie dostrzec pewnej prawidłowości. W loży zasiadały wyłącznie osoby bardzo w mieście szanowane, ma-

jące władzę, autorytet, a także odpowiedni majątek.

Złożyła oba arkusze i włożyła je między kartki notatnika ojca. To zupełnie beznadziejne, nawet teraz, kiedy wydawało się jej, że wie, kim są niektórzy członkowie loży.

Opadła na oparcie krzesła, wpatrywała się nieruchomo przed siebie.

Być może musi pogodzić się z tym, że nigdy nie dowie się, z kim rozmawiała w loży.

- Czy nie mogłabyś przynajmniej o tym pomyśleć? Alf usiadł przy stole kuchennym, podczas gdy Blanche stawiała na nim półmiski z jedzeniem. - Masz dość pracy w sierocińcu.

Blanche popatrzyła na niego z powątpiewaniem. - Ale jest mi najlepiej tak, jak jest teraz.

Alf wielokrotnie pytał ją, czy nie powinni zatrudnić służącej do pomocy w domu, ale nie podobała się jej ta myśl. Najchętniej uniknęłyby obecności służby w domu, poza tym ich domek

był mały i łatwy do utrzymania w czystości. Gotowanie zaś lubiła.

Alf puścił do niej oko. - Nie mogłabyś o tym pomyśleć? Pomoc odciążałaby cię.

Wiedziała, że Alf ma rację, ale nie chciała powtarzać schematu, który znała z dzieciństwa. Ojciec ciągle był w podróży, a nią zajmowała się guwernantka albo inni służący. Nie chciała, żeby Helene Augusta miała takie dzieciństwo, chciała sama rządzić w swoim domu.

- Helene Augusto, chodź - zawołała. Córka bawiła się w salonie swoimi lalkami. - Jedzenie jest gotowe.

Helene Augusta natychmiast przyszła i wdrapała się na swoje krzesło.

- Poza tym - powiedział Alf - zapomniałem ci powiedzieć, że przyszedł do ciebie list. Wydobył go z kieszeni kamizelki.

Odebrała list z jego rąk i otworzyła go. Zawrzało w niej z irytacji, kiedy zorientowała się, kto jest nadawcą i o co ją prosi. Skończyła czytać i podała go Alfowi.

Alf popatrzył na nią przeczytawszy list.

- Czy zrobisz to, o co cię proszą? Oddasz im notatnik?

Blanche opadła na krzesło, oparła brodę na dłoni. Zaczynała już mieć tego dosyć. Gdyby oddała loży notatnik ojca, zrozumieliby może, jak niewiele wiedziała. Popatrzyła na Alfa i kiwnęła głową.

- Tak, oddam im go jutro.

Alf kiwnął głową w zamyśleniu i usiadł.

- Dobrze będzie mieć tę całą sprawę za sobą. Blanche zaczęła nakładać jedzenie na talerz

Helene Augusty.

Alf miał rację. Zrozumiała, że nigdy nie dowie się, z kim rozmawiała w loży, kto zna szczegóły śmierci Oskara.

Najlepiej zrobi oddając notatnik i zapominając o wszystkim.

Blanche zatrzymała się przed szarym murowanym budynkiem, w którym odbywały się spotkania loży. W liście, który otrzymała, popro-

szono ją o położenie notatnika w małej skrytce obok drzwi wejściowych, po lewej stronie.

Westchnęła, cieszyło ją, że nie będzie musiała tym razem *wchodzić* do loży.

Otworzyła małe, żelazne drzwiczki i ostrożnie wsunęła notatnik do środka.

Zrobione. Oddała notatnik ojca.

Miała nadzieję, że bracia loży Złota Wieża nigdy się już do niej nie odezwą.

Abelone spiesznie weszła do sieni. Naci[^] m słuchiwała, czy gdzieś w domu nie rozlega się płacz Małego Erika, ale było cicho.

Bera musiała usłyszeć, że ktoś wchodzi, bo wyszła z kuchni.
- Właśnie zasnął - powiedziała szeptem i zerknęła w stronę kuchni, w której stała kołyska. - Uspokoił się, kiedy Malinę dała mu grzechotkę.

Abelone pospieszyła do kuchni i zaraz potem do kołyski. Coś ukłuło ją w sercu, gdy zobaczyła syna. Od płaczu jego twarz pokryła się czerwonymi plamami. Musiał zasnąć z wyczerpania. Ostrożnie włożyła smoczek w jego małą rączkę. Zacisnął ją na nim.

Abelone opadła na krzesło, czuła się zupełnie pusta w środku.

- Wszystko z tobą w porządku? - Bera popatrzyła na nią z powątpiewaniem, stawiając wodę na kawę.

Abelone kiwnęła głową, nie potrafiła opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w Ladefoss. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Jestem tylko trochę zmęczona. Bera usiadła po drugiej stronie stołu.

- Miejmy nadzieję, że nie przeziębiałaś się, tak jak Malinę.

W tej samej chwili z salonu weszła Malinę. Bera miała rację, służąca nie wyglądała na zdrową, miała czerwony nos i błyszczące, załzawione oczy.

- Źle się czujesz, Malinę?

Malinę uśmiechnęła się szybko i pokręciła głową.

- Nie jestem chora, pani Ladefoss, tylko trochę przeziębiona.

Abelone popatrzyła na nią z powątpiewaniem. Malinę była obowiązkową dziewczyną,

ale nie byłoby w porządku, gdyby w czasie choroby musiała pracować.

- Możesz iść do domu, jeśli gorzej się czujesz - powiedziała zdecydowanie.

W tej samej chwili do kuchni wbiegli Jorgen i Isak, Isak z przodu, Jorgen tuż za nim. Isak musiał najwidoczniej zabrać Jorgenowi drewnianego konika, bo Jorgen był tak zły, że aż się rozplakał.

- Spokój, chłopcy - upomniała ich Bera surowo. - Mały Erik właśnie zasnął.

Abelone popatrzyła na bliźniaków. Za kilka tygodni skończą trzy lata, zaczynają być już dużymi chłopcami. Różnili się jak dzień i noc, zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. Ciągłe też się kłócili, zawsze było coś, co do czego się nie zgadzali. Tak jak teraz. Widziała kątem oka, jak Isak droczy się z Jorgenem z charakterystyczną dla siebie triumfującą miną. Jorgen próbował odzyskać swojego konika, ale Isak trzymał go za plecami.

- Ja go miałem! - Jorgen popatrzył na Abelone z rozpaczą, jakby oczekiwał od niej pomocy.

Isak roześmiał się i pokręcił głową. - On jest mój!

Znów się zaczęło. Isak wybiegł z kuchni w stronę krętych schodów, a Jorgen pędził tuż za nim.

- *A co to za bieganie?*

Abelone nie zauważyła wcześniej wchodzącego do sieni ojca, Anders pojawił się zaraz za nim. Donośny, zirytowany głos natychmiast zatrzymał chłopców.

- Czyja wam nie mówiłem, że biegać możecie sobie do woli na dworze?!

Bliźniacy pochylili główki i wbili wzrok w podłogę.

- No już, zmiatać stąd!

Dziwnie było patrzeć, jaki wpływ miał ojciec na jej małych braci. Wiedzieli, że nie wolno im biegać w domu, ale po prostu o tym zapominali, w każdym razie wtedy, kiedy nie było ojca. Teraz położywszy uszy po sobie wlekli się po schodach na górę. Poza tym Isak zrozumiał chyba, że zachowywał się niegrzecznie i oddał konika Jorgenowi.

Ojciec wszedł do kuchni i wskazał ręką miejsce Andersowi.

- Usiądź, Andersie.

Abelone śledziła chłopaka wzrokiem. Nie mogła się nadziwić, jak bardzo dorósł w czasie swojej nieobecności. Ojciec także musiał to chyba dostrzec, widziała to po sposobie, w jaki do niego mówił.

Bera zaraz znalazła się przy nich ze świeżo zaparzoną kawą i talerzem ciastek.

- Muszę przyznać, Andersie, że nie wierzyłam, że kiedykolwiek cię jeszcze zobaczymy -wymruczał ojciec zajadając się ciastkami.

Anders uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nigdy nie zamierzałem zniknąć aż na dwa lata.

- Opowiedz nam w takim razie, gdzie się w tym czasie podziewałeś?

Anders upił mały łyk kawy.

- Na początku, jak pan wie, pracowałem na statku łowców fok, a potem zaciągałem się na przeróżne statki handlowe.

Abelone siedziała i słuchała Andersa. Miał do opowiedzenia bardzo wiele interesujących

historii, ale trudno było jej zebrać myśli. Marinius ciągle zajmował jej myśli. Przypominała sobie, jak zwabił ją do szopy na drewno, jak jego ręce dotykały jej ciała. Co skłoniło go do zrobienia czegoś takiego? Czyżby prowokowała go nie zdając sobie z tego sprawy? Gdyby nie czuł się zachęcony, nie próbowałby chyba tego zrobić? Powinna była zachować więcej ostrożności.

Musiała opuścić wzrok na swoją filiżankę kawy, żeby inni nie zauważyli cisnących się jej do oczu łez.

Nie zrobiłaś niczego złego, Abelone. Wciąż powtarzała sobie te słowa, ale nie potrafiła naprawdę w nie uwierzyć.

- Tak więc z tego, co zrozumiałem, znalazł pan w lesie sidła?

Pytanie Andersa przywołało ją z powrotem do rzeczywistości. Sidła? Popatrzyła na ojca, jego twarz pochmurniała.

- Tak, znalazłem ich sporo popołudniu, jeden potrzask na lisy i wiele wnyków. W potrzasku leżał jeden martwy lis, który próbował odgryźć sobie łapę.

Abelone popatrzyła na ojca. - Wiesz, kto mógłby je zastawić? Pokręcił głową z zaciętym wyrazem twarzy, przeczesał palcami włosy. - Nie, ale uwierz mi, rad byłbym wiedzieć, kto waży się kłusować w moim lesie - odstawił filiżankę po kawie z głośnym stukiem. - Jutro zawiozę potrzask na lisy i wnyki do lensmanna, może on będzie wiedział, kto może być kłusownikiem.

Mężczyźni rozsiedli się przy stole na dobre i dalej roztrząsali, kto mógłby zastawić sidła na zwierzynę. Ojciec sądził, że wnyki przeznaczone były na kuny przez wzgląd na ich drogie futra. Można było na nich naprawdę nieźle zarobić.

- Szczęk na lisy używa się przecież także do łapania kun - wtrącił Anders.

Aksel kiwnął głową. - Wydaje mi się, że temu draniowi najbardziej właśnie na nich zależy. Jako przynęty użył drozdów posmarowanych sokiem z biedrzeńca.

Abelone wstała.

- Porozmawiamy jeszcze później, Andersie

przeprosiła. Czuła taki niepokój w ciele, że trudno było jej śledzić rozmowę między Andersem a ojcem. Pragnęła teraz jedynie być sama. Niedługo znów obudzi się Mały Erik.

Anders uśmiechnął się do niej. - Oczywiście, Abelone.

Na szczęście nikt nie zapytał, dokąd idzie i bez problemów wymknęła się do sieni. Jeśli będzie szybka, nikt nie zauważy, że wyszła.

Pozwoliła sukni opaść do kostek i rozpięła halkę. Chłodny wiatr głaskał jej ciało i przyprawił ją o gęsią skórkę. Dotykała stopami chłodnej trawy, drżała, ale nie marzła.

Właśnie tutaj, na tej łące, pocałowała Erika pierwszy raz. Tamtego letniego dnia, kiedy zobaczyła, jak łowi perły. Było jej gorąco i chciała wykąpać się w rzece, gdy go dojrzała. Pamiętała to tak dobrze. Był taki piękny, gdy stał w wodzie, a ona patrzyła na jego silne, brązowe ciało i wilgotne, ciemne włosy. Słońce prażyło moc-

no, owady bzycały wściekle nad powierzchnią wody.

Zrobiła kilka kroków w stronę brzegu rzeki. Rozejrzała się, ale wiedziała, że nikt jej nie obserwuje. Weszła szybko do wody, wiedziała, że pójdzie to łatwiej, niż gdyby zanurzała się powoli.

Woda była lodowato zimna, tak zimna, że czuła, jak jej ciało sztywnieje natychmiast po zanurzeniu się w rzece. Ziąb sprawił, że czuła mocne pulsowanie krwi w głowie. Mimo wszystko czuła się dobrze, mimo że jej skóra jakby płonęła.

Popłynęła kawałek w dół rzeki i postawiła stopy na dnie. Szybko zaczęła się obmywać, szorowała dłońmi ramiona, brzuch, nogi.

Była niemal zmartwiała z zimna, gdy wyszła na brzeg, jej ciało trzęsło się, a palce odmawiały posłuszeństwa, kiedy próbowała poradzić sobie z ubraniem.

Ale to nie miało znaczenia. Zmarzła, ale przecież wiedziała, że za chwilę znów się rozgrzeje.

Poza tym dobrze było poczuć się znowu czystą.

- Czy to pan, pastorze Munthe? - Aksel uściskał dłoń pastora, po czym wskazał mu i pani Agnes drogę do pokoju dziennego.

- Gdybym wiedział, że państwo przyjdą, napaliłbym w naszym najlepszym salonie - przeprosił. - Ziab wkradł się do domu ostatnimi dniami.

Pastor posłał mu przyjazny uśmiech, pokręcił głową. - Nie ma żadnego powodu, żeby pan to robił, panie Gimle - pastor i jego bratowa usiedli. - Poza tym nie będę długo pana niepokoił.

Aksel pokręcił głową i także usiadł - Wcale mnie pan nie niepokoi - popatrzył na gości wyczekująco. Nie wiedział, dlaczego przyszli, ale zdawał sobie sprawę, że coś najwidoczniej musiało leżeć im na sercu.

Pastor wiercił się w fotelu, wymienił spojrzenia z Agnes. - Chodzi o pana córkę, panią Ladefoss - zaczął, spoglądając na Aksela.

Gospodarz Gimle zebrał myśli. - Abelone poszła załatwić jakąś sprawę.

Wyszła, ale nie wiedział, dokąd. Najprawdopodobniej poszła zajrzeć do zwierząt. - O co dokładnie chodzi?

Pani Agnes przesunęła się na sam brzeg fotela, przez chwilę wyglądała zupełnie bezradnie. - Chcieliśmy tylko upewnić się, czy wszystko z nią w porządku. Po tym, co się stało - dodała.

Aksel patrzył na swoich gości zdeorientowany. - Obawiam się, że nie wiem, co państwo chcą przez to powiedzieć.

Pastor zmarszczył czoło. - A więc nie powiedziała panu o tym?

Aksel nie potrafił zrozumieć, do czego zmierzał Munthe. - Nie powiedziała o czym?

W następnym momencie słuchał już pastora, który spokojnie opowiadał o tym, co przytrafiło się jego córce. Po chwili, gdy zaczęło do niego docierać, co się wydarzyło, zrozumiał dziwne zachowanie Abelone w kuchni. Była zupełnie nieobecna myślami, ale często taka bywała po śmierci Erika. Specjalnie więc nad tym się nie zastanawiał. Musiał przełknąć ślinę i odwrócić wzrok, kiedy pastor opowiadał, w jaki sposób

Abelone próbowała się bronić. Na chwilę w pokoju zapadła cisza.

- A więc nie wydaje się państwu, żeby ten parobek dokonał tego, co zamierzał? - zapytał Aksel cicho. Czuł, jak gniew buzuje w jego ciele. Jak *parobek* mógł dopuścić się czegoś takiego?

Pastor pokręcił głową. - Pańska córka tak powiedziała - zamilkł na chwilę i po chwili dodał.

- Oczywiście, powiadomiliśmy lensmanna.

Aksel rzucił mu badawcze spojrzenie. - A co zrobił pan z tym parobkiem?

Niech Bóg broni, by ten łajdak miał dalej pracować w gospodarstwie pastora!

- Oczywiście go zwolniłem. Został już odwieziony do krewnych w Laurvig.

Aksel wbił wzrok w podłogę, próbował się uspokoić. Po tym wszystkim, co się wydarzyło

- jeszcze to.

Pastor i pani Agnes wstali.

- Czy mogę prosić o przekazanie pozdrowień pana córce? Głęboko ubolewamy nad tym, że została narażona u nas na coś takiego.

Aksel wstał, uściśnął dłoń pastora. - Oczywiście. Dziękuję, że powiedzieli mi państwo o tym.

Odprowałził pastora i jego bratową do drzwi, I serce mu się krajało na myśl o tym, przez co mu- \ siała przejść jego córka.

Ale bolało go także coś innego. Było mu przykro, że nie powiedziała o tym i własnemu ojcu.

Abelone zwolniła, gdy zobaczyła z dala stojący na dziedzińcu powóz pastora. Nie potrafiła nim rozmawiać, mimo że wiedziała, iż chciał się tylko upewnić, czy dobrze się czuje po burzliwych wydarzeniach tego dnia. Chciała po prostu być sama. Poszła w kierunku nowej stodoły, pospiesznie weszła do środka. Wdychała dobrze znany, bezpieczny zapach siana i zwierząt. Było jeszcze za wcześnie, żeby rozpocząć wieczorne oporządzanie inwentarza, ale w oborze zawsze było coś do zrobienia. Poza tym chciała zajrzeć

do dwóch świń, które wkrótce mieli zabić. Karmili je teraz dobrze, chcieli być pewni, że będą tłuste i smaczne.

Nikt nie chciałby w święta jeść zabiedzonych świń.

Rodlin zamuczała z niezadowoleniem, kiedy ją mijała. Abelone roześmiała się cicho, podeszła do niej.

- To nie mogę już nawet przejść obok ciebie i nie podrapać cię trochę?

Krowa próbowała przytulić do Abelone swoją głowę, gdy ta zaczęła drapać ją po grzbiecie.

- Dobra z ciebie dziewczynka, prawda? - przycisnęła policzek do miękkiej szyi zwierzęcia i drapała krowę za uchem, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi.

Poczuła zniechęcenie, kiedy zobaczyła w nich pastora Munthe. Wiedziała, że to jej szuka i schowałaby się, gdyby tylko mogła. Niestety, było już na to za późno. Właśnie ją dostrzegł.

- Tu pani jest, pani Ladefoss - uśmiechnął się i podszedł do niej. - Wydawało mi się, że widzę, jak pani tu wchodzi.

Poczuła się nieswojo. Pastor musiał wiedzieć, że widziała jego powóz i celowo unikała spotkania z nim.

- Musiałam zrobić jeszcze coś przed wieczornym oporządzeniem zwierząt - powiedziała i natychmiast pożałowała. Kłamała w żywe oczy, i to pastorowi. Na myśl o tym poczuła, jak gorąco rozlewa się na jej policzkach, unikała jego wzroku.

Pastor Munthe podszedł do niej. - Chciałem tylko upewnić się, że wszystko z panią w porządku, pani Ladefoss - powiedział cicho. Kiwnęła głową i podniosła wzrok na niego.

- A Marinius?

- Moim zdaniem nie powinna pani zbyt wiele rozmyślać o tym parobku - odpowiedział pastor z wysiłkiem. - Zapewniam panią, że nigdy więcej już go pani nie zobaczy. Został wyrzucony z Ladefoss.

Poczuła się lżej na duchu. Dobrze było wiedzieć, że już nigdy na niego nie trafi.

- Ale rana... Krwawił tak mocno.

Pastor Munthe podszedł bliżej. Jego ręce od-

nalazły jej dłonie. Delikatnie je uściskał, spojrzał jej w oczy.
- To nic groźnego, pani Ladefoss - zamilkł na chwilę. - Proszę mi obiecać, że więcej nie będzie pani o nim myśleć, dobrze? Nie jest tego wart.

Próbowała się uśmiechnąć. Nie było łatwo przestać myśleć o Mariniusie.

- Spróbuję - odpowiedziała cicho.

Pastor wsunął palec wskazujący pod jej podbródek i uniół jej twarz ku swojej.

- To nie pani wina, że Marinius źle zrozumiał pani serdeczność, pani Ladefoss.

Abelone popatrzyła na niego, czuła, jak coś ściska ją w piersi.

- Nie chciałam go prowokować, chciałam mu tylko pomóc wtedy, kiedy stłukł okulary.

Pastor uciszył ją. - Niektórzy mężczyźni tacy już są, niestety. Tak bardzo chcą, żeby ktoś ich zauważył, że kiedy jakaś sympatyczna kobieta poświęca im trochę uwagi, rozumieją to opacznie.

Abelone przełknęła ślinę. - Nigdy nie przy-szłoby mi do głowy go prowokować - powtórzyła.

Pastor uśmiechnął się, pokręcił głową. - Nie ma pani za co przepraszać - powiedział, po czym uśmiech zniknął z jego nagle pochmurniałej twarzy. - Za to Marinius będzie musiał zamienić parę słów z lensmannem.

Abelone popatrzyła w przyjazną twarz pastora. Był dobrym człowiekiem, pełnym zrozumienia i troski o innych. Mieli szczęście, że trafili na takiego duszpasterza.

- A co ze mną? Zraniłam go siekierą. Może lensmann będzie chciał także z *nią* porozmawiać w związku z tym, co zrobiła.

Pastor pokręcił głową. - Mogę pani obiecać, że lensmann nie będzie pani winił. Broniła się pani przecież.

Nagle nie czuła się już tak ciężko. Dobrze było porozmawiać z pastorem Munthem. Zresztą mimo wszystko, Marinius nie zrobił nic poza tym, że porządnie ją przestraszył.

- Jest mi tak ogromnie przykro z powodu tego, co panią spotkało - twarz pastora zmieniła się, ton głosu stał się głębszy. Oczy pociemniały. -1 to po tych wszystkich bolesnych wydarze-

niach... - podniósł rękę i ostrożnie pogłaskał ją po policzku. - Niesie pani ciężkie brzmie, pani Ladefoss. Chciałbym móc pani ulżyć.

Abelone chciała się od niego odsunąć. Był jej *pastorem*, ale teraz czuła, że zbliża się zanadto.

- Nie wydaje mi się... - nie dokończyła tego, co zamierzała powiedzieć, bo jej wzrok padł na stojącą w drzwiach panią Agnes. Od jak dawna tam stała? Abelone nie słyszała, kiedy nadeszła.

Pani Agnes wpatrywała się w nich, jej twarz stężała, oczy gromiły ich zza grubych szkieleł. Wąskie usta ściągnęły się.

Bez słowa bratowa pastora odwróciła się na pięcie i trzasnęła za sobą drzwiami stodoły.

Abelone westchnęła. Nietrudno było odgadnąć, co pomyślała sobie pani Agnes.

Popatrzyła na pastora Munthe, który stał jeszcze przez chwilę trochę bezradnie, po czym puścił jej rękę i ruszył w stronę drzwi.

Żadne z nich niczego nie powiedziało, ale oboje wiedzieli, dlaczego pani Agnes trzasnęła drzwiami.

Była zazdrosna.

Eilen, wpatrując się w korytarz, miętosła w dłoniach chusteczkę do nosa. Dlaczego Ulrik nie przyszedł? Profesor Calmeyer powiedział, że na jej oddziale wizyty można przyjmować codziennie między godziną siedemnastą a osiemnastą. Ulrik *obiecał*, że będzie ją odwiedzał każdego dnia. Teraz zbliżało się już pół do szóstej, a on ciągle się nie pokazał.

Czuła, jak w gardle ściska ją płacz. Była tu tylko dobę, ale każda godzina trwała niemal wieczność. Poza tym prawie nie spała tej nocy, leżała i wsłuchiwała się w obce dźwięki. Z innych oddziałów wielokrotnie dobiegały ją jakieś głosy, głębokie krzyki rozpacz, które przyprawiały ją

o dreszcze. Jej myśli powędrowały do Mary Alice, żony Poula. Czy w szpitalu znajdowały się kobiety, które były aż tak chore, jak ona? Tak przypuszczała i to ją przerażało.

Poza tym wciąż jeszcze myślała o Poulu, chociaż się tego wstydziła. Była przecież mężatką. Żadna zameżna kobieta nie powinna myśleć o innych mężczyznach niż jej mąż! Samo wspomnienie o tym wywoływało rumieniec na jej policzkach. To nie było w porządku wobec Ulrika, który chciał przecież tylko jej dobra.

Mimo wszystko, po raz pierwszy od dłuższego czasu, to Poul był ostatnią osobą, o której myślała przed zaśnięciem, zanim dawka chloralu sprawiała, że zamykała oczy i odpływała w świat snów.

Poprawiła się na krześle, próbowała słuchać rozmowy pomiędzy dwiema kobietami, które siedziały tu razem z nią. Obie powiedziały jej, że nie oczekują odwiedzin tego popołudnia, ale trzy pozostałe pensjonariuszki z ich oddziału przyjęły dziś wizyty swoich rodzin, także wiotka panna Cecilia. Jedna z pań dostała nawet po-

zwolenie na spacer w ogrodzie w towarzystwie swojej siostry.
- Prawda, pani Bjerregaard?

Ellen popatrzyła z zaskoczeniem na panią Figenschou, która spoglądała na nią pytająco. - Obawiam się, że nie dosłyszałam, co pani do mnie powiedziała - usprawiedliwiła się Ellen.

- Powiedziałam, że profesor Calmeyer już od dawna nie znalazł czasu na rozmowę z nami.

- Zadowala się tym, co powie mu doktor Juul - dodała pani Morup, druga z jej towarzyszek. W ciągu dnia Ellen zdołała zapamiętać wszystkie nazwiska.

- Pewnie ma dużo pracy z pacjentami na innych oddziałach - ciągnęła pani Figenschou i pokręciła głową. - Słyszałam, że ma wielu trudnych pacjentów.

Pani Morup pokiwała głową potakująca. - Mimo wszystko z nami jest trochę inaczej, jesteśmy spokojnymi, ułożonymi osobami, które przebywają tu tylko dla spokoju i odpoczynku.

Obie kobiety popatrzyły na Ellen, jakby ocze-

kiwały, że coś odpowie. Nietrudno było odgadnąć, że ciekawiło je, z jakich powodów *ona* się tu znalazła, lecz Ellen zdecydowała się milczeć. Żadna z pozostałych kobiet nie pisnęła ani słowa o przyczynach swojego pobytu w szpitalu. Jedyne informacje, jakie miała, dotyczyły panny Cecylii.

- Czy aż tak rzadko rozmawiają panie z profesorem? - zapytała.

Kobiety przytaknęły. - O, tak. Poza tym za czasów poprzedniego lekarza oddziałowego było inaczej - powiedziały zgodnie. - Był zawsze miły, serdeczny, otwarty i przyjemnie się z nim rozmawiało.

Pani Figenschou nachyliła się nad Ellen, gdy korytarzem przechodziła Cecilia w towarzystwie kobiety, która wyglądała na jej matkę.

- Wie pani, zanim pani przyjechała, w pani pokoju mieszkała pani Cramer.

Ellen nie wiedziała, o czym mowa. - Obawiam się, że nie wiem, kim jest.

Pani Figenschou zniżyła głos. - Pani Cramer przestała sypiać nocami, nie podobało się jej też,

że jej drzwi były zamykane. Kiedy zaczęła zachowywać się niespokojnie, zniknęła.

- Co pani chce przez to powiedzieć? Zniknęła? - zdumiała się Ellen.

Pani Figenschou i pani Morup wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Doktor Juul postarał się, żeby przeniesiono ją na inny oddział. Wie pani, na naszym oddziale liczy się przede wszystkim spokój. Niespokojni pacjenci nie mogą tu przebywać.

Pani Figenschou kiwnęła głową w stronę Cecilii. - Ta młoda dama także powinna znajdować się na innym oddziale. Sama pani widziała wczoraj, w czasie obiadu, w jakim jest stanie - kobieta opadła z powrotem na oparcie krzesła, złożyła dłonie na podołku i ściągnęła usta. - Gdyby nie była córką adwokata Wergelanda, także by zniknęła, tak jak pani Cramer.

Ellen raz jeszcze zerknęła na zegar ścienny. Czas wizyt dobiegał powoli końca. Ulrik nie przyszedł.

- Czy nie oczekuje pani wizyty swojego

męża? - wyrwało się pani Figenschou. Pani Morup posłała przyjaciółce karcące spojrzenie.

Ellen wstała, oczy nagle zapiekły ją od łez. Tak się cieszyła na przyście Ulrika, tak wiele leżało jej na sercu. Chciała też powiedzieć mu, że chce jak najszybciej wrócić do domu. Mc nie wyglądało tak, jak się tego spodziewała, ale na szczęście nie miała pozostać w szpitalu dłużej niż tydzień. *Tydzień*. To brzmiało jak wieczność.

- Coś musiało go zatrzymać - odpowiedziała. - Jestem pewna, że przyjdzie jutro.

Musiała odwrócić się do kobiet plecami i pójść do swojego pokoju, gdyż obawiała się, że dostrzegą łzy w jej oczach.

Ulrik *musi* przyjść jutro.

Godzinę wcześniej

Ulrik patrzył na doktora Juula z powątpiewaniem. - Ale moja żona na mnie czeka. Obiecałem jej, że przyjdę.

Lekarz wskazał na stojące przed biurkiem krzesło. - Proszę usiąść, panie Bjerregaard.

Ulrik usiadł, ale nie wiedział, czy podoba mu się poważny wyraz twarzy doktora Juula.

Lekarz zaplótł dłonie i położył je przed sobą, na blacie biurka.
- Musi pan zrozumieć, że rzeczą najwyższej wagi jest, żeby pańska małżonka miała tyle spokoju i odpoczynku, ile potrzebuje.

Ulrik poruszył się na krześle. Tak bardzo chciał zobaczyć się z Ellen, przez cały dzień nie myślał o niczym innym.

- Oczywiście, ale miałem nadzieję, że będę mógł ją odwiedzać, wiem, że na mnie czeka -powtórzył.

Juul posłał mu chmurne spojrzenie. - Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, że stan pani Bjerregaard może szybko się pogorszyć. Zarówno moim, jak i profesora Calmeyera zdaniem, pańska małżonka musi być chroniona przed bodźcami, które mogły wywołać jej omamy.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Ulrik. Sądził, że będzie mógł odwiedzać Ellen podczas jej pobytu w szpitalu.

- Ponieważ wiemy, że pańska małżonka ma za sobą próbę samobójczą, zwracamy na nią szcze-

gólną uwagę - lekarz podniósł głowę, popatrzył prosto na Ulrika. - Dzisiejszej nocy zachowywała się niespokojnie i obawiamy się, że pańska obecność może spowodować nasilenie się tych objawów. Uważamy, że dobrze jej zrobi zupełne wyciszenie się na jakiś czas. Mamy nadzieję, że to spowoduje ustanie jej halucynacji - posłał Ulrikowi pocieszający uśmiech. - Mogę panu powiedzieć, że pani Bjerregaard sama przyznała, że tej nocy nie miała żadnych wizji.

Ulrik cieszył się z tego, co powiedział lekarz, ale nie był pewny, czy go to uspokoiło. - Ale powiedział pan, że była w nocy niespokojna?

Jego zdaniem doktor Juul mówił bardzo dużo o spokoju.

Lekarz kiwnął głową. - Nie zdarzyło się nic poza tym, że nie mogła spać. Ale kiedy zażyła swoje lekarstwo, zasnęła bez problemów.

Ulrik pokiwał głową, tak samo było w domu. - Czy uważa pan, że z czasem będzie mogła przestać brać te leki?

Zauważył, że lekarstwo sprawiało, iż Ellen bywała śpiąca także w ciągu dnia i kiedy zapy-

tał o to wprost Betsy, służąca powiedziała, że Ellen śpi też trochę wtedy, kiedy on jest w pracy. Taka już była po utracie dziecka. Smutna i przygnębiona.

Lekarz przez chwilę milczał, zdawał się nad czymś zastanawiać. - Trudno powiedzieć, panie Bjerregaard - wstał i podał Ulrikowi rękę. - Proponuję, żeby pan przyszedł za tydzień, wtedy będziemy wiedzieli więcej.

Ulrik wstał lekko oszołomiony, uścisnął dłoń lekarza i wyszedł z gabinetu.

Wyszedł na dziedziniec przed szpitalem, popatrzył w okna budynku i zastanowił się, jak może czuć się Ellen. W niektórych oknach widział nieruchomo patrzące przed siebie twarze. Myśl o tym, że kobieta, którą kocha znajduje się gdzieś w tym wielkim, murowanym gmachu, sprawiała mu ból niemal nie do zniesienia.

Odwrócił się i poszedł do powozu. Musiał przestać myśleć w ten sposób.

Sam nie mógł nic zrobić dla Ellen, ale w szpitalu dadzą jej wszystko, czego potrzebuje, by wróciła do zdrowia.

Najlepsze, co mógł teraz uczynić dla Ellen, to zaufać lekarzom.

Panna Marstrand odwróciła się do idącego szybko w jej kierunku doktora Juula. Jak zwykle wydawał się trochę spięty i poważny. Wykonywał swoją pracę ambitnie i bardzo dokładnie, ale wiedziała, że nie tylko ona tęskni za poprzednim lekarzem oddziałowym.

- Panno Marstrand, chciałbym z panią porozmawiać - powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Miała nadzieję, że się pospieszy, powiadomiono ją, że na oddziale B jeden z pacjentów zaczął sprawiać trudności.

Podszedł do niej. - Właśnie powiedziałem mężowi pani Bjerregaard, że zdaniem profesora Calmeyera przyjmowanie wizyt przez jego żonę byłoby niewskazane, w każdym razie na początku jej pobytu tutaj.

Kiwnęła głową. - Powiem jej o tym - miała już pójść dalej, kiedy lekarz znów ją zatrzymał.

- Nie musi pani informować jej, że to my nie chcemy, żeby przyjmowała odwiedziny - wyjaśnił. - To mogłoby spotęgować jej niechęć do nas. Zauważyłem, że już stawia pewien opór.

Panna Marstrand popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Czasami wydawało jej się, że pomysły lekarzy bywają nierozsądne. Ale cóż ona może wiedzieć?

- Ale przecież ona czeka na odwiedziny swojego męża - próbowała wtrącić. Juul posłał jej pełne wyższości spojrzenie.

- To ważne, żeby pani Bjerregaard wyzdrowiała, prawda? W takim razie musi nam zaufać.

Rozzłościłaby się tylko, gdyby dowiedziała się, że nie życzymy sobie wizyt jej małżonka - na jego twarz wypłynął przebiegły uśmiech, splótł ręce na plecach. - Nie musi pani mówić nic ponadto, że jej mąż nie przyszedł.

Panna Marstrand kiwnęła głową i dygnęła. - Oczywiście, doktorze Juul.

Biedna pani Bjerregaard, pomyślała. Wiedziała, że młoda kobieta bardzo cieszyła się na

myśl o odwiedzinach. Nie wyglądało na to, by odnalazła się w szpitalnej rzeczywistości, ale z początku często tak bywało.

Poza tym to lekarze wiedzą najlepiej, co jest najlepsze dla pacjenta, jej obowiązkiem było wypełniać otrzymywane polecenia.

Mimo wszystko nie chciała stracić pracy.

Abelone otarła pot z czoła rękawem sukienki. Właśnie byli w trakcie wielkich przedświątecznych porządków. Dziś przyszła kolej na gabinet ojca. Wszystkie meble, obrazy i wielkie pozłacane lustro wyniesiono na korytarz. Ogromny dywan także zrolowano i wyniesiono z gabinetu. Wczoraj zdołali zdjąć firanki i story. Firanki trzeba będzie wyprać, a story wywiesić na zewnątrz, żeby się przewietrzyły, podobnie jak dywan. Teraz gabinet stał pusty i czekał na gruntowne szorowanie. Ściany, sufit, podłoga, nie można też zapomnieć o regałach na książki. Poza tym w pokoju znajdował się też wysoki, żeliwny piec, który trzeba będzie poczernić i wypolerować. Okna tak-

że muszą błyszczeć. Wielkie biurko ojca było za ciężkie, żeby je przenieść, przykryła je więc pokrowcem.

Abelone popatrzyła na Sofie, której policzki aż poczerwieniały z wysiłku podczas wnoszenia wszystkich tych przedmiotów. Malinę jeszcze się nie pojawiła, co wprowadziło Abelone w zdumienie. Dziewczyna nigdy się nie spóźniała, chociaż wczoraj bardzo często kaszlała. Może przeziębila się tak bardzo, że nie zdołała przyjść do pracy, nie byłoby to wcale dziwne. Wczoraj także powinna była zostać w domu.

- Zajmiesz się poczernieniem pieca? - poprosiła Sofie, która kiwnęła głową potakująco. Młodsza siostra Andersa nigdy nie dawała się długo prosić. Mieli szczęście, że zarówno Sofie, jak i Malinę były bardzo pracowitymi służącymi, odciążały też Berę. Sama zajmie się w tym czasie półkami na książki.

Abelone wyszła do kuchni, żeby wymieszać czernidło, które należało rozpuścić w odrobinie alkoholu i rozsmarować na piecu miękkim gałgankiem.

Właśnie zabierała się za mieszanie, kiedy zobaczyła idącą przez dziedziniec Malinę. Dziewczyna brnęła przez głęboki śnieg, którego sporo napadało w nocy. Natychmiast odstawiła misę i wytarła ręce.

- To Malinę - powiedziała szybko do Bery, która natychmiast podeszła do blatu kuchennego, żeby wyjrzeć przez okno. - Wydaje mi się, że jest chora.

Dostrzegła to w sposobie, w jaki szła. Jej kroki były chybotliwe i powolne. Pospieszyła do sieni, żeby otworzyć jej drzwi.

- Malinę!

Co tej dziewczynie przyszło do głowy? Wyglądała, jakby zaraz miała się przewrócić!

Abelone podbiegła do niej i chwyciła ją pod rękę. Twarz dziewczyny była poszarzała, oczy zamglone. Oparła się ciężko o Abelone.

- Szłaś taki kawał drogi, mimo że jesteś tak bardzo chora? - Abelone popatrzyła na nią. Jej spódnice aż do wysokości powyżej kolan były zupełnie przemoczone od śniegu.

Malinę kiwnęła głową. - Musi mi pani po-

móc, pani Abelone. Nie tylko ja jestem chora. Większość mojego rodzeństwa także, a w nocy stan maleńkiej pogorszył się.

Abelone przebrała się w sieni w swój strój do jazdy konnej, zaraz potem pojawiła się tam Bera.

- Czy jesteś pewna, że powinnaś tam jechać? - zapytała Bera cicho. - Jeśli u nich w domu jest więcej chorych... - Bera rzuciła ukradkowe spojrzenie na Malinę, która siedziała skulona przy stole kuchennym. - Możesz też się zarazić, Abelone - wyszeptała.

Sama też o tym pomyślała, ale nie mogła nie pomóc Malinę, dziewczyna odchodziła od zmysłów z powodu stanu młodszej siostry. Dziecko przyszło na świat latem.

- Poślę po doktora Greni, jeśli będzie to konieczne - zapewniła, naciągnęła na ręce rękawice i pospieszyła do Malinę. - Dasz radę jechać ze mną konno? - zapytała, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny.

Malinę kiwnęła głową, wstała. - Dziękuję, pani Abelone.

Wydawało jej się, że Malinę zasnęła, kiedy wjeżdżały do zagrody Ronningen. Dziewczyna ciężko opierała się o jej plecy, coraz słabiej trzymała ją w pasie i Abelone czuła, jak bardzo rozgrzana była od gorączki.

Zatrzymała Rimfakse. Słyszała dobiegający z malutkiego domku z bali płacz któregoś z rodzeństwa Malinę.

- Malinę? Jesteśmy na miejscu. Zauważyła, że dziewczyna drgnęła, jakby się

obudziła, kiedy usłyszała jej głos.

- To Johan płacze - wymamrotała Malinę, gdy Abelone pomagała jej zejść z końskiego grzbietu. - Rano miał wysoką gorączkę.

Abelone przełknęła ślinę i starała się zachować kamienny spokój, gdy przywiązywała konia.

Malinę była najstarszą z siedmiorga rodzeństwa, ich ojciec zmarł trochę ponad rok temu. Zagroda należała tak właściwie do Kleivan, ale tam nie było pracy dla dziewczyny. Gdy okazało się, że potrzebują nowej służącej w Gimle, Aksel pomyślał o Malinę. Wdowie nie było ła-

two zostać w dzierzawionym gospodarstwie samej z siedmiorgiem dzieci. Na szczęście wiedziała, że gospodarz w Kleivan będzie patrzył przez palce na ewentualne zaległości w czynszu - w każdym razie przez jakiś czas.

Brnęły przez śnieg, by dotrzeć do drzwi wejściowych. Abelone podniosła wzrok na komin, który ledwo wystawał znad grubej, wyglądającej jak pagórek warstwy śniegu na dachu.

Z komina wydobywała się cienka smużka dymu. Dobrze, że przynajmniej ogrzewali dom. Mieli także zapas drewna, widziała, że leży równo ułożone na ganku. Jednak jeśli rozchorują się tak bardzo, że nie będą w stanie narąbać więcej, zapasy szybko stopnieją.

Malinę otworzyła drzwi do domu. Od progu uderzył je nieprzyjemny zapach. Czuć było gorączką, chorobą i zastałym powietrzem.

Malinę natychmiast wbiegła do ciemnej izby, do Johana, który siedział na podłodze i trząsał się od płaczu.

Abelone pomyślała, że może mieć około dwóch lat. Jego twarz zupełnie poczerwieniała,

a policzki całe były mokre od łez. Starszy chłopiec siedział obok niego i niezdarnie gładził go po plecach.

Chłopczyk popatrzył na Malinę z rozpaczą. -Nie chce przestać płakać.

Malinę wzięła Johana na rękę, ale płacz nie ustał, mimo że zaczęła mu cichutko śpiewać.

Abelone próbowała rozeznaczyć się w sytuacji dzieci. - Gdzie jest najmłodsze dziecko? - zapytała. Nie widziała nigdzie ani niemowlęcia, ani matki. Malinę zerknęła w stronę zamkniętych drzwi. - Są w alkierzu. Oyvind też, leży w łóżku matki.

Abelone rozejrzała się wokół. Przy stole siedział większy chłopiec, musiał być jednym z najstarszych, i pochlipywał cicho. Teraz podniósł się ciężko z miejsca i uprzejmie się uklonił. Abelone widziała, że nie był zdrowy.

- To jest Peder - przedstawiła brata Malinę. - Też jest chory, ale nie tak, jak matka i maleństwo. Kornelius, najstarszy z moich braci, jest zdrowy i rano poszedł do szkoły.

Abelone popatrzyła na chłopca, który wcze-

śniej próbował pocieszyć swojego młodszego brata. Na szczęście wyglądał zdrowo.

- Tord też nie jest chory - wyjaśniła Malinę zmęczonym głosem i opadła na długą ławę, tuż obok Pedera. Dziecko w jej ramionach nadal płakało. Abelone podeszła do niej. - Daj mi go.

Malinę podała brata Abelone. Abelone położyła dłoń na jego czole. Było bardzo rozpalone.

- Chce wrócić do mnie - szepnęła Malinę i zabrała brata z powrotem. - Tak, Malinę tu jest, Malinę cię pocieszy - mówiła uspokajającym tonem, ale Abelone słyszała, jak bardzo jest wyczerpana.

W końcu płacz się uspokoił, przeszedł w słabe pojękiwanie. Dzieci nie marudziły tak, gdy były niezadowolone albo głodne, pomyślała Abelone. Dzieci płakały w ten sposób, gdy były chore.

- Czy Oyvind także jest chory? - zapytała. Malinę kiwnęła głową, przycisnęła policzek

do posklejanych potem włosów brata. - Tak. Czyli pięcioro dzieci chorowało. Malinę kołysała pochlipującego brata w ra-

mionach, Abelone widziała, jak opadają jej powieki.

- Może pani wejść do matki, jeśli pani chce. Uważała, że nie powinnam pani zawracać głowy, ale nie wiedziałam, co mam robić, kiedy ona także się rozchorowała.

Abelone kiwnęła głową. - Dobrze, że dałaś znać, Malinę, ale nie wiem, czy mogę dla was wiele zrobić. Zajrzę do twojej matki i sprowadzę doktora Greni.

Bo co też mogło im dolegać? Nie mogło być mowy o zwykłym przeziębieniu, objawy były zbyt poważne.

Malinę opuściła wzrok, Abelone widziała, jak jej dolna warga zaczyna drżeć. - Nie mamy pieniędzy, pani Abelone.

Abelone poczuła, jak ściska jej się serce. To dlatego ją Malinę poprosiła o pomoc. - Nie myśl o kosztach sprowadzenia doktora Greni tutaj, Malinę.

Malinę podniosła na nią wzrok. W jej oczach malowała się rozpacz. - Matka mówi, że nie przyjmujemy jałmużny.

Abelone pokręciła głową. - To żadna jałmużna, Malinę. Wynagrodzenie doktora potraktujemy jako zaliczkę twojej pensji.

Twarz Malinę rozjaśniła się. - Dziękuję, pani Abelone. Dziękuję - oczy dziewczyny zaszły łzami. - Niech Bóg panią błogosławi.

Abelone poszła do alkierza. Będzie musiała poprosić ojca, żeby podwyższył pensję Malinę. Nie może być tak, żeby służby nie stać było na lekarza. Ostrożnie zapukała do drzwi, zanim weszła. Tu było spokojniej niż w izbie, wszyscy troje leżeli w łóżku i spali.

Abelone podeszła do szerokiego łóża. Starsze z dzieci miało policzki purpurowe od gorączki i posklejane potem włosy. Matka leżała z najmłodszym dzieckiem w ramionach, plecy miała częściowo podparte poduszkami. Dziecko było blade.

Abelone podeszła krok bliżej do łóżka, położyła dłoń na czole niemowlęcia. Zastanowiła się przez chwilę. Wydawało się jej, że dziecko ma gorączkę, chociaż na pewno nie wysoką.

- Pani Abelone? - matka Malinę zamrugła

oczami. Ostrożny uśmiech wypłynął na jej wychudzoną twarz. - Przyszła pani.

Abelone wpatrywała się w nią. Dostrzegła coś, czego nie widziała u innych chorych.

- Pani Pauline, pojedę teraz do doktora Greni. Powinien zobaczyć panią i pani dzieci.

Spojrzenie kobiety nabrało ostrości. Zdecydowanie pokręciła głową. - Nie stać nas na lekarza, proszę pani.

Abelone kiwnęła głową. - Malinę dostanie zaliczkę swojej pensji - powiedziała.

Kobieta powoli pokiwała głową, a po chwili jej powieki znów opadły. - Dziękuję pani, niech Bóg panią błogosławi.

Abelone ruszyła w kierunku drzwi, czuła, jak narasta w niej niepokój.

Powinna zadbać o to, by chorzy dostali przed jej wyjazdem trochę wody, ale musiała też pospieszyć się z wyjazdem.

Obawiała się, że zarówno rodzeństwo Malinę, jak i jej matka byli poważnie chorzy.

Abelone wdrapała się na grzbiet Rimfakse i rozejrzała wokół. Czy powinna wrócić drogą do Gimle, a potem skierować się do domu doktora, czy raczej pojechać przez las? Ta druga trasa byłaby krótsza. Jeśli uda się jej utrzymać kierunek, droga skróci się nawet o połowę.

Zdecydowała się pojechać przez las, знаła go jak własną kieszeń, a Rimfakse to silny koń, śnieg nie będzie mu przeszkadzał.

Ruszyli z miejsca i skierowali się w stronę zagajnika. Serce się jej krajało, gdy znów usłyszała dobiegający z domu płacz dziecka.

Miała nadzieję, że doktor Greni dysponuje lekarstwami, które złagodzą objawy choroby, ale jeśli jej obawy się potwierdzą, niewiele będzie mógł zrobić.

Przejażdżka przez zimowy las na pewno by ją cieszyła, gdyby nie to, że tak bardzo martwiła się o rodzinę Malinę. Na myśl o chorych dzieciach i ich matce ścisnęła ją w żołądku. Niepokoiła się szczególnie o dwoje najmłodszych dzieci. Naj-

młodszy byli zawsze w największym niebezpieczeństwie, najmniej byli w stanie znieść. I to maleńkie niemowlę... Było takie blade.

Skierowała Rimfakse w stronę prześwitu w lesie próbując odsunąć od siebie niepokój. Teraz najważniejsze było dotarcie do doktora Greni.

Zdziwiła się, gdy niedaleko przed nią, ukryta za przysypanymi śniegiem świerkami, zamajaczyła zbudowana z bali niewielka chatynka.

Nie przypomniała sobie, żeby widziała ją tu wcześniej. Ściągnęła wodze, zatrzymała konia i rozejrzała się wokół. Czyżby pojechała w złym kierunku? Była pewna, że jedzie w stronę gospodarstwa doktora Greni, że wyjedzie na pagórek za jego domem.

Serce zaczęło jej walić jak młot. Nagle wszystko wokół wydało się nieznajome. Spojrzała w niebo. Białawo-żółta warstwa chmur zasłaniała słońce, ale potrafiła dostrzec jego położenie. O której wyjechała z domu? Około dziewiątej? Zastanowiła przez chwilę i doszła do wniosku, że mogłoby się to zgadzać. Oznaczałoby to, że mogło być teraz koło godziny dziesiątej.

A o dwunastej słońce będzie się znajdowało najwyżej, po południowej stronie.

Jechała we właściwym kierunku, nie mogło być inaczej.

Nagle dobiegła ją słaba woń dymu. Czy mógł tam ktoś być? Teraz? W takim wypadku byłoby to bardzo dziwne, ludzie nie mieli w zwyczaju przebywać w dziczy w środku listopada. Dopiero po Nowym Roku, gdy na dobrze rozpoczynała się wycinka drzew, mężczyźni ruszali do lasu.

Zdecydowała się podjechać do chaty, choćby po to, by przekonać się, czy jedzie we właściwym kierunku. Zbliżała się już do niej, gdy usłyszała z oddali ujadanie psa. A więc byli tam ludzie. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego wcześniej nie widziała domku. Musiano go postawić dopiero niedawno, można to było poznać po jasnym kolorze drewna, poza tym cudowny zapach świeżo ściętych drzew był nie do pomylenia z niczym innym.

Zsiadła i przywiązała Rimfakse do drzewa. Śnieg wokół chaty był wydeptany, widać było na nim zarówno ludzkie, jak i psie ślady. Mieszkań-

cy włożyli też dużo pracy w zgromadzenie sporych zapasów drewna. Jego ogromny stos piętrzył się tuż obok pieńka z wbitą siekierą. Widok ten natychmiast przywołał jej na myśl wydarzenie z Ladefoss. Sam *widok* siekiery sprawiał, że źle się czuła.

Wydawało się jej, że wie, dlaczego. Mogła przecież zabić parobka. I nawet nie odczuwała z tego powodu wyrzutów sumienia. To, co najbardziej ją męczyło, to świadomość płynności granicy między dobrem a złem. Nikt nie miał do niej pretensji o to, że zraniła parobka, ale co stałoby się, gdyby trafiła mniej fortunnie? Mógłby się wtedy wykrwawić na śmierć.

Odsunęła od siebie złe myśli, nie było sensu zastanawiać się zbyt wiele nad tym, co *mogło* się stać. Poza tym inne sprawy powinny teraz zaprzętać jej głowę.

Podeszła do chaty i rozejrzała się wokół. Na zbudowanych z bali ścianach wisały skóry lisów i zajęcy, cały pęk drozdów powieszono pod dachem, a sporą ilość wnyków na haku obok drzwi. Na myśl natychmiast przyszedł jej kłu-

sownik, o którym mówił ojciec. Czy to możliwe, żeby to miejsce obrał sobie za siedzibę? W takim razie dziwne, że zdecydował się na zbudowanie chaty właśnie tutaj - była prawie pewna, że ciągle znajduje się na terenie należącym do Gimle.

Uniosła rękę do góry i zapukała, cały czas lustrując wzrokiem otoczenie. Nie słyszała już ujadania psa, ucichło wszystko, poza szeleszczącym dźwiękiem zsuwającego się od czasu do czasu z drzew śniegu. Chociaż w nocy padało, w powietrzu nie czuć było mrozu, dlatego śnieg był taki ciężki.

Nikt nie otworzył, więc odwróciła się i zaczęła już iść z powrotem w kierunku konia, kiedy podbiegł do niej duży, czarnobiały pies. Szczekanie psa sprawiło, że Rimfakse niespokojnie zatańczył w miejscu, koń ojca nie lubił psów, wiedziała o tym.

- *Shep! Do nogi!*

Cofnęła się, kiedy zobaczyła, że pies biegnie w jej stronę skacząc przez śnieg. Nie bała się psów, ale nigdy nie widziała podobnego do tego. Był cały czarny, z wyjątkiem białego krawata

pod szyją, białego koniuszka ogona i łap. Sierść miał długą i błyszczącą.

Dostrzegła, jak jego właściciel wychodzi z lasu, niósł kilka zajęcy. Kiedy zagwizdał na psa, zwierzę pobiegło z powrotem do niego i zaczęło tańczyć wokół swojego pana.

Coś w sylwetce tego mężczyzny sprawiało, że pożałowała, że w ogóle zsiadła z konia. A jeśli to *naprawdę* był kłusownik, o którym mówił ojciec?

- Shep, idź i waruj!

Pies natychmiast posłuchał, położył uszy po sobie i ruszył długim krokiem w stronę domku. Następnie położył się na śniegu przed drzwiami.

Wydawało się, że mężczyzna próbuje jej nie dostrzegać, ale musiała przecież zapytać go, czy jedzie we właściwym kierunku.

- Przepraszam - zaczęła, kiedy podszedł do niej. Popatrzył na nią krzywo. Wbił w nią spojrzenie swoich ciemnych oczu. Kim on mógł być? Nie widziała go nigdy wcześniej, ale wyglądał jak obdartus w swoim nieporządnym ubra-

niu i z niezadbaną czarną brodą. Poza tym coś w nim sprawiało, że czuła się niepewnie. Pomyślała, że wygląda na rozzłoszczonego, jakby irytowało go, że Abelone tu jest. Nie odpowiedział jej też ani słowa.

- Jadę do domu lekarza - wyjaśniała czując, że jej głos lekko drży. Nie podobała jej się ta sytuacja. Nie po tym, co wydarzyło się w Ladefoss. - Ale obawiam się, że zgubiłam, drogę.

Mężczyzna wyminął ją, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem. Zdezorientowana stała i patrzyła, jak wieszaki zające na ścianie domu.

Zdecydowała się odjechać. Zachowanie nieznajomego sprawiało, że się bała. Mógł jej przynajmniej *odpowiedzieć*.

Ruszyła już w kierunku konia, kiedy pies jeszcze raz do niej podbiegł. Wcześniej leżał machając ogonem, wodząc za nią wzrokiem.

- Shep! Waruj, powiedziałem!

Jego słowa sprawiły, że pies karnie poczołgał się z powrotem na swoje miejsce.

Wdrapawszy się na siodło, Abelone rzuciła

nieznajomemu jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. Biedny pies. Nie zrobił nic złego, chciał się tylko przywitać. Poza tym wydawało się jej, że jest młody, poruszał się zwawo i trochę nie-źbornie.

Na końskim grzbiecie poczuła się bezpieczniej.

- A więc nie może mi pan powiedzieć, w którą stronę jechać? - zapytała głośno, mimo że nieznajomy stał odwrócony do niej plecami i gmerał przy worku, który przyniósł z lasu na plecach.

Rzucił jej przez ramię złe spojrzenie spod przymkniętych powiek i lekko kiwnął głową w stronę, z której przyjechała.

- Dalej w tę samą stronę, w którą pani jechała.

Bez dalszych słów otworzył drzwi do swojego schronienia i zniknął.

Abelone odwróciła Rimfakse i skierowała go w stronę prześwitu, z którego przyjechali. Więc jednak nie zgubiła drogi.

Zanim odjechała, popatrzyła jeszcze raz na

chatę. Czegoś tu nie rozumiała. Mężczyzna nie widział przecież, jak tu jechała... a może jednak widział? Bo w przeciwnym razie skąd miałby wiedzieć, z której strony przybyła?

Dobijała się do drzwi, czekała, miała głęboką nadzieję, że doktor będzie w domu. Co innego mogła zrobić dla rodziny w Ronningen?

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, Abelone wiedziała, że jest gospodynią w gospodarstwie doktora.

- Czy doktor Greni jest w domu? - zapytała, wciąż jeszcze trochę zdyszana po przejeździe.

Gospodyni wolno kiwnęła głową i otworzyła szeroko drzwi. - Proszę wejść, pani Ladefoss.

Abelone stała w korytarzu i czekała, śledząc wzrokiem gospodynię. Jej szerokie plecy zniknęły gdzieś w innych pokojach, amfiladowo rozmieszczonych wewnątrz domu. Kobieta musiała być przyzwyczajona do przyjmowania wzburzo-

nych ludzi potrzebującym pomocy lekarskiej, zachowywała się tak spokojnie.

Po chwili dostrzegła idącego w jej kierunku doktora Greni. Jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ale wiedziała też, że dziwi się,

I że przyjechała sama. Sprowadzanie doktora należało zwykle do zadań parobków. - Dzień dobry, Abelone - przywitał się z nią przyjaźnie i serdecznie uścisnął jej dłoń - Czy coś się stało w Gimle?

Szybko pokręciła głową. - Nie, doktorze Greni. Chodzi o jedną z naszych służących.

Wyjaśniła, że Malinę jest od jakiegoś czasu przeziębiona i że teraz także jej rodzeństwo i matka są chorzy.

Twarz lekarza przybrała ponury wyraz w miarę, gdy Abelone opowiadała.

- A więc najmłodsze dziecko też jest chore? Abelone kiwnęła głową. - Tak, ale nie sędzę, żeby miała wysoką gorączkę.

Lekarz popatrzył na nią. - Często tak bywa z małymi dziećmi. Nie gorączkują bardzo, ale mimo wszystko ich stan może być poważny.

Coś w jego głosie sprawiło, że żołądek znów się jej ścisnął.

- Pojadę saniami do Ronningen - zdecydował doktor.

- A ja pojadę konno przodem - powiedziała. Teraz, kiedy będzie mogła wrócić po własnych śladach, pójdzie jej szybciej.

Kiedy wróciła, w Ronningen było już cicho. Tylko najstarszy chłopiec nie spał. Malinę położyła się razem z chorym rodzeństwem w pokoju, w którym spała matka.

Zdecydowała zagotować wodę w czasie, w którym będzie czekała na doktora Greni. Na blacie stało sporo naczyń do umycia, a poza tym dobrze będzie mieć pod ręką trochę kawy, gdy doktor przyjedzie.

Wiadra na wodę stały w kuchni, ale były niemal puste. Resztkę wody przelała z nich do dużego garnka i dołożyła drewna pod kuchnią.

- Skąd bierzecie wodę? - zapytała Pedera. Nachylił się do okna i pokazał palcem.

- Ujęcie wody jest trochę w dole, przy dro-

dze - odwrócił się do niej. - Obok ławki, może widzi pani wbity tam palik.

Abelone pokiwała głową. W takim razie nie będzie musiała chodzić daleko. Założyła koromysła na ramiona i wyszła. Wiatr hulał przy domu i niósł ze sobą chmury płatków śniegu, które lądowały teraz na jej twarzy. Na szczęście dobrze się ubrała, a jej strój do jazdy konnej był ciepły.

Musiała brnąć przez śnieg, żeby dotrzeć do ścieżki, lekki śnieg przysypywał wąskie dojście wykopane do ujęcia. Wysoki pał wskazywał miejsce, w którym znajdowała się studnia, tak jak powiedział brat Malinę.

Odstawiła wiadra i przez chwilę chuchała w dłonie, żeby je rozgrzać. Nie założyła rękawiczek. Szybko napełniła wiadra wodą i ruszyła z powrotem do izby.

Pod kuchnią buzował ogień, woda powinna szybko się zagotować.

- Widzę doktora, jedzie drogą - usłyszała chwilę później głos Pедера.

Podeszła do okna i odsunęła na bok białą,

cienką firankę. Miał rację, sanie doktora właśnie zajechały na podwórze. Otworzyła przybyszowi drzwi i pomogła mu zdjąć ciężkie futrzane palto.

- Tylko najstarszy nie śpi - wyjaśniła półgłosem. - Pozostali śpią w alkierzu.

Doktor Greni kiwnął głową i otrzepał czapkę ze śniegu. - Widzę, że jest chory - powiedział cicho i popatrzył na chłopaka, który właśnie uprzejmie się mu kłaniał.

Abelone popatrzyła na brata Malinę. Miał opuchnięte powieki i zatkany nos, ale nie wyglądał na tak chorego, jak pozostali.

Doktor Greni uśmiechnął się do Pedera, usiadł na ławie przy stole i otworzył swój kuferek.

- Pozwól, że ci się trochę przyjrzę - powiedział i kiwnął dłonią na chłopca.

Abelone podeszła do lady kuchennej, podczas gdy doktor badał chłopca. Potrafił chyba pracować z dziećmi, mówił coś właśnie do małego pacjenta spokojnym głosem, jednocześnie osłuchując jego piersi.

- To tutaj to po prostu bardzo silne przezię-

bienie - powiedział w końcu lekarz, ale w jego głosie słychać było oczekiwanie.

- Abelone, czy mogłabyś obudzić matkę Malinę?

Wytarła ręce w ścierkę i cicho weszła do alkierza. Nieprzyjemny zapach choroby natychmiast uderzył ją w nozdrza.

Podeszła do jednego z łóżek, w którym spała matka Malinę z dwojgiem dzieci, tak jak wcześniej. Malinę leżała w drugim łóżku razem z dwoma braćmi.

Abelone nachyliła się nad łóżkiem, ostrożnie potrząsnęła Pauline za ramię.

- Pani Pauline? Lekarz przyjechał.

Matka Malinę zamrugła oczami, ostrożny uśmiech rozciągnął kąciki jej popękanych, suchych ust. Próbowwała wyprostować się w łóżku.

- Proszę leżeć, pani Pauline. Doktor przyjdzie tu do pani.

Doktor Greni musiał pochylić głowę, żeby wejść do pomieszczenia. Abelone widziała, jak jego wzrok z uwagą prześlizguje się po chorych. Kiwnęła głowę w stronę Torda.

- Maline mówi, że jest zdrowy. Najstarszy syn także, jest w szkole.

Wycofała się nieco, gdy lekarz badał matkę Malinę, ale nadal stała w drzwiach, na wypadek, gdyby mogła w czymś pomóc.

Na koniec doktor Greni odwrócił się do niej i kiwnął głową z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

- Jest tak, jak przypuszczałem - powiedział cicho i znów odwrócił się do Pauline, która wpatrywała się w niego ciemnymi, wystraszonymi oczami, ściskając w ramionach niemowlę.

- Jeden z pani synów ma wysypkę w ustach, pani Pauline, ale dopiero, gdy zobaczyłem pani wysypkę u nasady włosów, upewniłem się, co do swoich podejrzeń.

Abelone wstrzymała oddech. Sama także zauważyła wysypkę, ale miała nadzieję, że nie ma nic wspólnego z chorobą.

- Pani i dzieci chorujecie na odrę, pani Pauline.

Rozebrała się i namoczyła ubrania od razu po przyjsciu do domu, ręce szorowała tak mocno, że aż poczerwieniały. Umyła też dokładnie twarz, ale żeby mieć większą pewność, że nie przywlecze ze sobą choroby z Ronningen, miała zamiar się później wykąpać. Musiała tylko najpierw nagrzać wystarczająco dużo wody. Matka zawsze myła się dokładnie po wizycie u chorych. Nie wiedziała, czy to może w czymkolwiek pomóc, ale na pewno nie zaszkodzi. Matka mawiała, że choroba brudzi ręce tak samo, jak brudzi je praca w oborze.

Wycierała się lnianym ręcznikiem, a jej myśli pobiegły ku chorej rodzinie. Z siedmiorga dzieci w Ronningen pięcioro było chorych. Rozchoro-

wała się także ich matka. Zdaniem doktora choroba najbardziej zagrażała niemowlęciu i dwulatкови.

Odwiesiła ręcznik i zaczęła się ubierać. Odra mogła roznieść się po wsi w błyskawicznym tempie. Jeśli u kogoś wystąpiła wysypka, choroba najczęściej rozprzestrzeniała się dalej. Doktor Greni powiedział, że tylko ci, którzy już kiedyś przechodzili odrę, mogą czuć się bezpiecznie. Na razie nie wiadomo było jeszcze, czy w okolicy jest więcej chorych. Matka Malinę powiedziała im jednak, że niedawno odwiedzała krewnych w sąsiedniej wsi i wkrótce po tej wizycie doniesiono jej, że dwoje z ich dzieci zachorowało.

Ani ona, ani żadne z jej rodzeństwa nie przechodziło odry, ale ojciec chorował chyba, gdy był dzieckiem. Jeden z jego braci umarł na tę chorobę w wieku trzech lat. Abelone westchnęła, czuła, że drży. *Odra*. Wiedziała, że dla wielu dzieci choroba ta skończyła się śmiertelnie, ale doktor Greni próbował pocieszać Malinę i innych mieszkańców Ronningen, że większość ją jednak przeżywała.

Napotkała swoje spojrzenie w lustrze na toalecie, przesunęła palcami po skórze. Jej twarz nie miała już tak miękkich rysów jak dawniej, za bardzo wychudła. Pod oczami kładły się głębokie cienie.

Zamknęła oczy. Niech Pan nie dopuści, by ktokolwiek w Gimle zapadł na tę straszliwą chorobę. Jednocześnie wiedziała, że było to bardzo prawdopodobne.

Z rozmyślań wyrwał ją szcęk otwieranych za jej plecami drzwi. Jorgen wetknął główkę do pokoju.

- Mały Elik płacze - powiedział i popatrzył na nią bezradnie.

Usłyszała go zaraz po tym, jak Jorgen otworzył drzwi. Jej syn obdarzony został wyjątkowo silnymi płucami.

Podeszła szybko do młodszego brata i uśmiechnęła się do niego, chociaż wewnątrz drżała cała z niepokoju.

- Już idę, Jorgenie - podniosła go do góry i uścisnęła. - Bardzo dobrze, że mi o tym powiedziałaś.

Sofie przemierzała kuchnię w tę i z powrotem, próbując uspokoić Małego Erika, lecz bezskutecznie. Kiedy chłopczyk zobaczył swoją matkę, płacz nasilił się jeszcze bardziej.

- Obawiam się, że nie chce być u mnie - powiedziała Sofie zrezygnowana i podała dziecko Abelone.

Abelone usiadła na krześle z synem na kolanach i płacz ucichł. Położyła dłoń na jego czole. Było gorące!

Poczuła, jak ukłuło ją coś w żołądku. Czy już wczoraj wieczorem nie był trochę nieswój? Mdłości podeszły jej do gardła. Czy Mały Erik mógł być zarażony?

Przyjrzała się dokładnie główce i twarzy syna, ale nie widziała żadnych śladów wysypki. Co powiedział doktor Greni? Że chorzy najpierw dostają wysypki w ustach.

Wsunęła palec do buzi syna, ale zgodnie z jej przewidywaniami dziecko zaprotestowało.

Próbowała nie zwracać uwagi na jego płacz i zajrzała do jego ust. Serce zatrzymało się jej na chwilę. Czy to wysypka?

Wstrzymała oddech, próbowała ustawić buzię Małego Erika pod światło. Nie, to raczej nie mogła być wysypka. A może się myli? Zajrzy tam jeszcze później.

Ułożyła syna na rękach i próbowała go ukołysać. Płacz wkrótce ustał, ale chciała upewnić się, czy dziecko nie ma wysypki na ciele. Ostrożnie odsunęła rękaw jego kaftanika. Jej oczom ukazał się łukowato ułożony rząd czerwonych plamek.

Przesunęła palcami po plamkach, podniosła ramię wyżej. Mały Erik miał takie samo znamię pod ramieniem. Czowała, jak zaczyna szaleć w niej gniew, zaczęła rozglądać się za bliźniakami. Jorgen bawił się w pokoju dziennym, ale Isaka nigdzie nie było widać.

To Isak musiał ugryźć Małego Erika, kiedy leżał w kołysce.

Odwróciła się do Sofie. - Czy kiedy Mały Erik zaczął płakać, Isak był w pobliżu?

Sofie kiwnęła głową, chowając świeżo umyte naczynia do szafek. - Stał przy kołysce, ale pobiegł gdzieś, kiedy Mały Erik zaczął płakać.

Tak jak przypuszczała. - Czy mogłabyś być tak miła i go znaleźć'?

Sofie zniknęła, a Abelone dokładniej przyjrzała się śladom po ugryzieniu. Isak ugryzł jej syna naprawdę mocno, skóra był w kilku miejscach przebita. Ranki nie krwawiły mocno, na kaftaniku Małego Erika pojawiło się tylko kilka maleńkich plamek, ale nietrudno było sobie wyobrazić, że musiało go to boleć.

Chwilę później w kuchni pojawiła się Sofie ciągnąc za sobą Isaka. Chłopiec popatrzył na Abelone. Przestraszone, ponure spojrzenie i zwieszona głowa były nie do pomylenia z niczym innym. *Wiedział*, że zrobił coś niedobrego.

Isak zatrzymał się w progu i nie chciał iść dalej, chociaż Sofie próbowała go wciągnąć.

- Isaku, podejdź tu - poprosiła Abelone. Isak skulił się cały, ale nie przejmowała się tym. Miał już prawie trzy lata i doskonale wiedział, że nie wolno gryźć innych. Jednocześnie dziwiła się, bo to, co zrobił, nigdy nie wpadłoby do głowy Jorgenowi.

Isak pokręcił swoją ciemną główką i unikając jej spojrzenia pocierał nerwowo jedną dłonią o drugą

- Isaku, chodź tutaj - zażądała Abelone i zamieniła spojrzenia z Berą, która śledziła sytuację znad pieca.

Isak powoli powlókł się przez kuchnię. Abelone posadziła sobie małego Erika na kolanach i znów podwinęła jego rękaw. Isak stał teraz przed nią i wpatrywał się w podłogę. Jorgen i Marie musieli wyczuć, że coś się święci, bo także zjawili się w pomieszczeniu.

- Isaku, wiesz, co to jest? - zapytała i wskazała na ślady po ugryzieniu. Isak nadal nie podnosił wzroku.

- Isaku? - Abelone podniosła głos, musiała to zrobić, żeby Isak zrozumiał, że to nie żarty.

Marie przemknęła się do niej, żeby popatrzeć na ramię Małego Erika. - Isak go ugryzł - powiedziała cicho.

Twarz Isaka ściągnęła się, oczy rozbłyły, a pięści zacisnęły. - Nie-e!

- Zrobiłeś to! - odparowała Marie ze złością.

Abelone westchnęła. - Marie, zabierz Jorgena i wracajcie do pokoju dziennego.

Z naburmuszoną miną młodsza siostra wzięła Jorgena za rękę i posłała Isakowi druzgocące spojrzenie. Abelone czekała, aż zostaną sami z Isakiem. Chłopiec stał i wiercił butem w podłodze.

- Isaku - zaczęła i wzięła brata za rękę. - Nie wolno ci gryźć Małego Erika.

Isak nie patrzył na nią, ale zwróciła uwagę na małą zmarszczkę na jego czole, jakby chciał zaprotestować przeciwko temu, co powiedziała.

- Ugryzienia bolą - nachyliła się nad nim. - Tobie też by się nie podobało, gdyby cię ktoś ugryzł, prawda?

Po raz pierwszy Isak popatrzył na nią. Wielkie, brązowe oczy sprawiły, że jej serce natychmiast zmiękło. Łatwo jest dać się oczarować Isakowi, pomyślała. Rzadko spotykało się tak ładne dzieci jak on, z takimi ciemnymi oczami i włosami. Ale czasem zachowywał się jak złośliwy troll, tak jak teraz. Kiedy dorośli na niego patrzyli, potrafił się uśmiechać i łąsić, ale kiedy są-

dził, że nikt go nie widzi, zdarzało mu się zachowywać w paskudny sposób.

Pogłaskała go po włosach, popatrzyła na niego poważnie. - Będziesz o tym pamiętał?

Isak kiwnął głową, opuścił oczy.

Abelone wyprostowała się. - Dobrze. W takim razie nie będziemy już o tym więcej mówić - zakończyła i odprowadziła Isaka wzrokiem, gdy smętnym krokiem szedł do reszty rodu. Miała nadzieję, że dała młodszemu bratu nauczkę, ale nie była tego pewna. Był inny niż Jorgen i Marie, niepokorny i zacięty, ale było w nim także coś jeszcze. Miewał na koncie różne przewinienia, podobnie jak Jorgen i Marie, ale niektóre z rzeczy, które robił, robił z czystej złośliwości, tak jak teraz.

Westchnęła, przytuliła do siebie Małego Erika. Może niepotrzebnie się martwiła. Isak był przecież jeszcze mały.

- *Abelone?* - usłyszała, jak Marie woła ją z pokoju dziennego. Podniosła się znużona.

Czasami czuła się, jakby była matką nie tylko Małego Erika.

Była nią także dla swojego młodszego rodzeństwa.

Blanche uśmiechnęła się do Helene Augusty, która stała już przy furtce do sierocińca. Była teraz za duża, żeby jeździć w wózku, ale droga z Brzozowego Zakątka do sierocińca była dla niej za długa, by przejść ją pieszo. Przemierzyły więc w ten sposób tylko ostatni kawałek drogi od sklepu. Na początku córka powoli wlekła się noga za nogą, ale im bliżej były celu przechadzki, tym szybciej przebierała swoimi małymi nóżkami.

- Mama! Rozpromieniona Helene Augusta machała do niej z daleka, ale po chwili zniecierpliwiła się, kiedy nie mogła dosięgnąć rączką do zasuwki, mimo że wyciągała się tak wysoko, jak mogła.

Blanche popatrzyła na sierociniec. Niektóre

z młodszych dzieci już je dostrzegły i przybiegły do nich ogrodową ścieżką. Nietrudno było zorientować się, że przygotowania do świąt już się tu rozpoczęły. Dzień był piękny i słoneczny, więc Signe zadbała, by wszystkie dywany wyłożono na śnieg. Line trzepała właśnie dwa z nich, przewieszane przez sznur.

Blanche otworzyła furtkę Helene Auguste, która pobiegła do swoich przyjaciół. Dobrze, że jej córka lubiła tu przebywać, ale być może nie było to wcale takie dziwne. W pobliżu Brzozowego Zakątka nie mieszkały żadne dzieci, a Helene Augusta lubiła bawić się z innymi. Szybko nudziła się, gdy nie miała żadnego towarzysza zabaw.

Na spotkanie Blanche wyszła Signe, postawna, zarumieniona gospodyni uśmiechnęła się do niej. Świeże, zimowe powietrze dobrze jej chyba robiło, podobnie jak dzieciom. Było zimno, ale bawiły się świetnie na śniegu. W każdym razie ich twarze promieniały.

- Co za piękny dzień! - powiedziała Signe z zachwytem.

Blanche pokiwała głową i uśmiechnęła się. Jako dziecko nigdy nie przepadała za zimą, ale jako dorosła osoba bardziej doceniała piękno zmieniających się pór roku. - Masz rację. Miejmy nadzieję, że taka pogoda potrwa dłużej.

- Położyłam dokumenty nowych dzieci w twoim gabinecie - poinformowała Signe. - Urzędnik z komisji do spraw ubogich był tu dzisiaj rano.

Zgodziły się na przyjęcie dwóch braci w wieku pięciu i siedmiu lat, którymi nikt nie mógł się zaopiekować. Bracia pomieszkiwali przez pewien czas w różnych gospodarstwach w okolicy Tonsbergu, ale ani oni, ani ich gospodarze nie byli z tego zadowoleni. Blanche słyszała już to i owo o chłopcach, zwłaszcza o starszym, który miał być niepokorny i złośliwy. Obie z Signe zdecydowały się jednak przyjąć ich do sierocińca. Zazwyczaj opinie, które dostawały z komisji do spraw ubogich były przesadzone.

Blanche podeszła do drzwi rzucając tęskne spojrzenie dzieciom, które miały to szczęście, że mogły przebywać na zewnątrz. Czasami ła-

pała się na marzeniach o tym, żeby znów być małą dziewczynką, która mogła robić dokładnie to, na co miała akurat ochotę.

Zamknęła za sobą drzwi. Wstydziła się myśli, która przed chwilą przyszła jej do głowy. Gdy myślała o domach, z których pochodziło wielu z jej podopiecznych, wiedziała, że powinna raczej dziękować Bogu za życie, którym ją obdarzył.

Wiele było kobiet i wielu mężczyzn w tym mieście, którzy harowali codziennie od rana do późnego wieczora i nie mieli żadnych perspektyw na odmianę swojego losu.

Weszła do gabinetu i już miała usiąść, kiedy w drzwiach ukazała się Anna.

- Czy miałaby pani może ochotę na filiżankę kawy?

Blanche kiwnęła głową i w tej samej chwili dostrzegła Pernille, która przyszła i przytuliła się matki. Niedawno dziewczynka nauczyła się chodzić, niedługo będzie miała już półtora roku. - Tak, dziękuję Anno, bardzo chętnie.

Anna zmieniła się bardzo, odkąd się tu po-

jawiała i jesienią zdecydowały, że dostanie swój własny pokój. Przez jakiś czas obawiała się, że cała sytuacja będzie trudna dla Line z powodu Pernille, ale Line przyjmowała chyba dość spokojnie to, że Pernille bardziej przywiązana teraz była do Anny. Poza tym Line miała wystarczająco dużo zajęć ze swoimi dwoma chłopcami.

Blanche opadła na fotel stojący za biurkiem i wzięła do ręki dokumenty z komisji do spraw ubogich. Pomiedzy nimi znalazła list.

Otworzyła go.

Droga Pani Bjerkeley,

Przestawię sprawę krótko. Jeśli życzy sobie Pani, żeby okoliczności śmierci Pani poprzedniego małżonka pozostały nieujawnione, chciałbym Pani zasugerować, by włożyła Pani 2000 koron do torby, którą znajdzie Pani na schodach Pani uroczego domu. Dalsze informacje o dostarczeniu pieniędzy znajdzie Pani w torbie. Bardzo nalegam, by postąpiła Pani zgodnie z moją sugestią.

Rozgorzała w niej wściekłość. List był oczywiście niepodpisany, na dole widniało tylko coś, co jej zdaniem wyglądało na czterolistną koniczynę, cokolwiek by to miało znaczyć. Tak czy inaczej nie było trudno odgadnąć, kto wysłał jej ten list. Wyobrażała sobie, że członkowie loży potrafią przynajmniej zachować się honorowo, ale okazało się, że się myliła.

I co z tą torbą? Czy ktoś rzeczywiście położył ją na jej schodach?

Poderwała się z miejsca i niemal wpadła na stojącą w drzwiach Annę.

- Nie chce pani wypić swojej kawy, pani Bjerkeley?

Blanche prędko pokręciła głową. - Przepraszam cię, Anno, ale muszę jechać.

Nie miała czasu na wyjaśnienia o co chodzi. Porwała swój płaszcz i wybiegła na zewnątrz.

- Signe, muszę jechać - powiedziała głośno. - Czy Helene Augusta może na razie tu zostać?

Signe kiwnęła głową, choć wyglądała na zdezorientowaną. - Oczywiście.

Blanche uścisnęła Helene Augustę i pobie-

gła do położonego trochę niżej od willi domu, w którym mieszkał fiakier.

Jeśli się pospieszy, może zdąży jeszcze zobaczyć, kto okazał się być na tyle bezczelny, by sądzić, że włoży 2000 koron - majątek! - do torby leżącej na jej schodach.

Serce zamarło jej w piersi, gdy sanie zajechały przed Brzozowy Zakątek. Dostrzegła obcy kształt przed domem. Na schodach, tuż przed drzwiami, ktoś położył dość dużą, czarną torbę.

Szybko zeszła z sań, rozglądając się uważnie wokół. Nikogo nie było widać, poza dwiema kobietami spacerującymi ramię w ramię w kierunku miasta.

Blanche podbiegła ścieżką ogrodową w stronę domu i chwyciła uszytą z materiału torbę. Zapięcie wykonano z mosiądzu, ale sama torba była welwetowa. Otworzyła ją drżącymi rękami. Wewnątrz leżał złożony arkusz papieru. Błyskawicznie go rozwinęła.

Droga Pani Bjerkeley,

Proszę postąpić zgodnie z moimi wskazówkami:

Jutro, najpóźniej o godzinie za dziesięć pierwsza, lecz nie wcześniej niż o wpół do pierwszej, proszę o umieszczenie torby z pieniędzmi na peronie stacji kolejowej, po prawej stronie od wyjścia z poczekalni dla podróżujących trzecią klasą.

Nie czytała dalej. Kobiety spacerujące ulicą mogły widzieć osobę, która położyła torbę na jej schodach. Złożyła list i pospieszyła z powrotem do sań.

- Chcę porozmawiać z tamtymi paniami, o tam! - powiedziała szybko.

Fiaker ruszył i wkrótce dogonili kobiety. Blanche nie знаła żadnej z nich. Przypuszczała, że mogły być matką i córką, były w każdym razie do siebie podobne. Przedstawiła się szybko i zapytała, czy spotkały lub widziały kogoś na ulicy. Nieznajome spojrzały po sobie.

- Tylko chłopca, który minął nas biegiem - zaczęła jedna z nich.

- I sanie z beczkami piwa - dodała druga. Blanche poczuła narastającą w niej rozpacz.

Zadanie odnalezienia osoby, która mogła podłożyć torbę, rysowało się beznadziejnie.

Spróbowała uśmiechnąć się do kobiet. -Dziękuję za pomoc.

Zaraz potem znów wdrapała się na sanie. Nie wiedziała, co prawda, kto wysłał jej ten list, ale wiedziała, kto znał okoliczności śmierci Oskara.

Złoży wizytę dyrektorowi Schmidtowi, i to natychmiast.

*

- Ależ pani Bjerkely. Nie może pani teraz wejść do pana dyrektora Schmidta! - urzędnik bankowy poderwał się z krzesła i popędził w jej stronę. Posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Mniemam, że wie pan, kim był mój ojciec? - powiedziała ostro. Pracownik banku powinien zdawać sobie sprawę z tego, kim *ona* jest. Mimo wszystko przejęła część udziałów w banku po śmierci ojca. Nie czekała na odpowiedź i zdecydowanym krokiem podążyła do gabinetu Schmidta.

Zapukała do drzwi i weszła. Dyrektor banku Schmidt popatrzył na nią z zaskoczeniem,

a mężczyzna, który siedział przed jego biurkiem poderwał się z miejsca.

- Pani Bjerkeley, obawiam się, że będzie pani musiała poczekać - pan Schmidt popatrzył na nią z irytacją zza swoich okrągłych okularów i zmarszczył krzaczaste brwi.

Przekroczyła próg, była zbyt rozzłoszczona, by być uprzejmą. Dyrektor był wśród zakapturzonych postaci, które spotkała w łoży, tego była pewna. Rozpoznała go wtedy po głosie. A teraz ktoś poważił się na ten szantaż.

Miała już *dosyć*.

- Obawiam się, że nie mogę poczekać - powiedziała podniesionym głosem i ruszyła w kierunku biurka. - Jest coś, o czym muszę z panem porozmawiać. W cztery oczy - dodała ostro i popatrzyła mu prosto w oczy. Jej riposta sprawiła, że dyrektor uciekł wzrokiem.

Pan Schmidt popatrzył przepaszająco na mężczyznę, z którym wcześniej rozmawiał.

- Panie Gregersen, czy będzie pan łaskaw poczekać chwilę na zewnątrz?

Dyrektor banku wyprowadził swojego go-

ścia z gabinetu, zamknął za nim drzwi i wrócił do niej. Na jego twarzy ukazał się wymuszony uśmiech.

- Pani Bjerkeley, nie usiądzie pani? Wyciągnął rękę w stronę krzesła przed biurkiem.

Pokręciła głową. - To nie jest konieczne.

Cały czas patrzyła na dyrektora wydobywając list, który znalazła w torbie na swoich schodach. Bez słowa podała mu go.

Schmidt wziął list z jej rąk. - Co to jest? - zapytał szorstko.

- Mam nadzieję, że pan właśnie mi to wyjaśni, panie Schmidt - odpowiedziała ostro. Czekala, aż przeczyta treść listu.

Dyrektor banku rozłożył arkusz i zaczął czytać. Bez słowa podszedł znów do swojego fotela i usiadł. Przez chwilę patrzył na list, zdjął okulary i spojrzał na nią. Z jego oczu zniknęła złość.

- Czy ktoś panią szantażuje, pani Bjerkeley? Zrobiła krok w stronę biurka, jego niewinny

ton irytował ją. - Rano otrzymałam w sierocińcu list, w którym zażądano ode mnie zapłacenia dwóch tysięcy koron - kiwnęła głową w stronę

listu, który trzymał w dłoni. - Sam pan widzi, w jaki sposób mam je przekazać.

Dyrektor banku znów włożył okulary na nos, patrzył jeszcze przez chwilę na list. Na jego twarzy ukazały się głębokie zmarszczki, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Autor tego listu grozi, że jeśli nie zapłacę, wyjawia okoliczności śmierci Oskara - powiedziała matowym tonem, próbowała zachowywać spokój.

Pan Schmidt podniósł wzrok na nią. - Pani zmarłego małżonka? - mówił cicho, jakby z wahaniem.

Wezbrała w niej wściekłość. Pan Schmidt mógł nie zrozumieć, że była świadoma tego, że to jeden z braci.

- Proszę nie udawać, panie Schmidt - odpowiedziała cicho, musiała bardzo się starać, żeby jej głos brzmiał w opanowany sposób - Zdaję sobie sprawę z tego, że pan wie, jak zginął Oskar.

Oczy dyrektora banku rozszerzyły się. - Obawiam się, że nie rozumiem...

- Ależ tak, wydaje mi się, że pan rozumie

przerwała mu. Zamilkła na chwilę, pozwalając słowom przebrzmieć i usiadła. - Rozpoznałam pana, panie Schmidt.

Nadal się w nią wpatrywał. Jego szyja powoli nabierała czerwonego koloru, po chwili rumieniec pojawił się także na policzkach. Zaczął mrugać szybko powiekami. - Ależ droga pani...

Blanche nachyliła się nad biurkiem. - Wiem, że jest pan jednym z braci w loży, panie Schmidt.

Dyrektor banku poprawił się w fotelu, odpowiedział dopiero po chwili. - Tak, w końcu to żadna tajemnica, że chadzam do loży - powiedział w końcu, nie patrząc jej w oczy.

Blanche pokręciła głową. - Żadna, tu ma pan rację. Ale uważam, że powinien był pan sobie darować chowanie twarzy w kapturze, kiedy pan i pańscy *bracia* życzyli sobie ze mną rozmawiać.

Dyrektor potarł dłonią czoło, widziała, jak drobne kropelki potu pojawiły się na linii jego przeczczonych włosów. - Nie wiem, co...

- Nie musi pan nic mówić - ucięła Blanche. - Ale jeśli uważa pan, że łoża może na drodze

szantażu wymusić ode mnie dwa tysiące koron, to potwornie się pan myli.

Dyrektor banku podniósł wzrok na nią, oczy mu się rozszerzyły. - Czy *tak* właśnie pani sądzi? Że to któryś z braci panią szantażuje?

Wyprostowała plecy, wciąż patrzyła mu prosto w oczy. - A co innego miałabym o tym sądzić?

- odpowiedziała twardo. - Daliście mi do zrozumienia, że wiecie, co wydarzyło się tej nocy, kiedy zginął Oskar. Ojciec nie powiedziałby o tym nikomu innemu - zamilkła. - Nie wydawało mi się, że powiedziałby o tym *komukolwiek*.

Była rozgoryczona, czuła się, jakby jej własny ojciec z za grobu wbił jej sztylet w plecy.

Dyrektor Schmidt podniósł się powoli, patrzył na nią poważnie.

- Przysięgam, pani Bjerkeley - zaczął cicho.

- To nie ja panią szantażuję ani też nie żaden z braci.

Wpatrywała się w niego. Znała dyrektora Schmidta od wielu lat i mimo wszystko nie mogła uwierzyć, że teraz kłamie. - Jak może pan być tak pewny, że to żaden z pozostałych braci?

Pokręcił głową. - Znam ich, pani Bjerkeley, to wszystko, co mogę pani powiedzieć. Tylko ja i dwóch innych wiemy - odchrząknął w dłoń, wyraźnie poruszony - znamy okoliczności śmierci pani męża - popatrzył jej prosto w oczy. - Dotrzymamy słowa, mogę to pani obiecać.

Napotkała jego spojrzenie, wiedziała, co ma na myśli. Jeśli będzie milczeć o tym, co odkryła w notatkach ojca, oni nie ujawnią, jak umarł Oskar.

Ale teraz nie dotrzymali obietnicy, choć oddała im notatnik ojca.

- Wie pan, że mogę pójść z tym na policję - zaczęła zdecydowanie. Ojciec podejrzewał, że poprzedni wielki mistrz nie umarł naturalną śmiercią, ale w notatkach ojca nie było nic, co mogłoby stanowić podstawę do tych podejrzeń. Wiedziała tylko, że bracia boją się tego, o czym się dowiedziała. To podpowiadało jej, że w podejrzaniach ojca było przynajmniej ziarno prawdy.

- Przypuszczam, że byliby zainteresowani tym, co mam do powiedzenia.

Dyrektor banku patrzył na nią badawczo.

Czy wiedział, że blefuje? Powiedziała to w sposób, który sugerował, że wie więcej niż w rzeczywistości.

Pan Schmidt podszedł do niej, położył dłoń na jej ramieniu. Rumieniec zniknął z jego twarzy i zdołał się już opanować. - Musi pani wiedzieć, że nie życzyłem sobie, żeby panią w to mieszać, pani Bjerkely - powiedział spokojnie i ścisnął jej ramię. - I musi mi też pani zaufać, kiedy mówię, że osoba, która panią szantażuje, nie jest żadnym z braci.

Popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek. Zrozumiała, że on naprawdę nie wierzył, by mógł to być któryś z jego towarzyszy.

- Ale musi się pan zgodzić, że to dziwne, że otrzymałam ten list krótko po dostarczeniu wam notatnika ojca? - zapytała.

Dyrektor kiwnął głową. - Rozumiem pani osąd i mogę panią zapewnić, że przeprowadzę własne dochodzenie - uśmiechnął się niepewnie. - Mam nadzieję, że to panią trochę uspokoi.

Nie odpowiedziała, podeszła do drzwi. Odwróciła się jeszcze w progu.

- Tak czy inaczej powinien pan wiedzieć, że nie zapłacę - ścisnęła klamkę, wyprostowała się. - Nie zrobiłam niczego złego tej nocy, gdy zginął Oskar.

Osobą, która postąpiła wtedy źle, był jej ojciec. Chciał, aby wyglądało to na samobójstwo Oskara, ponieważ obawiał się ingerencji wpływowego wuja Oskara w sprawę, która zostałaaby jej wytoczona.

Ojciec uczynił to, by ją chronić, ale zamiast tego dał pole do popisu szantażystom.

Wiedziała, co powiedzieliby ludzie, gdyby to wyszło na jaw. Jeśli była niewinna, jeśli Oskar zginął, bo musiała się przed nim bronić - dlaczego jej ojciec upozorował samobójstwo zięcia?

Obawiała się, że ludzie by tego nie zrozumieli. Albo jeszcze gorzej: że sędzia by jej nie uwierzył.

Może jednak nie ma wyboru. Może jednak powinna zapłacić?

- Co ty opowiadasz? - Alf wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Podała mu oba listy.

- Sam przeczytaj.

Twarz Alfa wykrzywiła się w gniewnym grymasie, gdy czytał listy.

- I rozmawiałś z panem Schmidtem? - zapytał ze złością.

Blanche kiwnęła głową. - Tak. I twierdzi, że to nie może być nikt z łoży.

Alf parsknął głośno. - Już w to wierzę! Zaczął w tę i z powrotem przemierzać kuchnię.

Helene Augusta patrzyła na ojca wielkimi oczami. - Tata zły? - wyszeptała cicho.

Blanche nachyliła się nad nią, próbowała się uśmiechnąć. - Tak, tata jest zły, ale nie na ciebie, kochanie. Wzięła córkę na rękę.

- Tata zły na kogo? - Helene Augusta wbiła w nią poważne spojrzenie swoich zielonych oczu.

Blanche pogłaskała ją po policzku. - Nie myśl o tym więcej.

Cichy odgłos drapania przy drzwiach do ogrodu

przyciągnął jej uwagę. - Kotek chce wejść - powiedziała, nie chciała, żeby Helene Augusta zrozumiała cokolwiek z tego, o czym rozmawiała z Alfem.

Córka pobiegła do drzwi i niecierpliwie czekała aż Blanche je otworzy.

- Kotek! - krzyknęła Helene Augusta i rzuciła się na zwierzątko. Blanche roześmiała się. Dobrze, że ich kot jest cierpliwy i znosi jakoś to, że Helene Augusta bywa w stosunku do niego trochę gwałtowna.

- Musisz być ostrożniejsza z kotkiem, kochanie - upomniała dziewczynkę i pokazała jej, jak można go głaskać.

- Kotek miły - uśmiechnęła się Helene Augusta i przyłożyła policzek do puszystego, szarego futerka.

Blanche wróciła do Alfa, który siedział przy stole kuchennym. Patrzył na listy, które rozłożył przed sobą na stole. Oba podpisano tą samą czterolistną koniczynką.

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - zapytała Blanche cicho i usiadła obok niego.

Alf rzucił jej szybkie spojrzenie, zmiął oba ar-

kusiki w kulkę i rzucił je do pieca. - To właśnie powinniśmy zrobić - odpowiedział ponuro.

Blanche patrzyła na piec, słyszała, jak trzaskające płomienie pochłaniają płonący papier.

- Nie zrobiłaś niczego złego - powiedział Alf zdecydowanie. - Tamtej nocy mogłaś umrzeć albo ty, albo on. Każdy próbowałby się bronić.

Nie odpowiedziała, patrzyła na córkę bawiącą się z kotem.

Nie, nie zrobiła niczego złego. Ale sposób, w jaki umarł Oskar...

Żaden człowiek, nawet on, nie zasłużył na taką śmierć.

Alf podszedł do niej, objął ją i pocałował w policzek. - Nie zrobiłaś niczego złego - powtórzył cicho i przyłożył policzek do jej policzka. - I dlatego nie powinnaś płacić tej gnidzie, która cię szantażuje.

Alf miał rację. Jeśli ktoś chciał rozpuszczać o niej złośliwe plotki, niech to po prostu robi.

Ona jest jedyną osobą, która naprawdę wie, co się wydarzyło tamtej nocy.

Nie żyłaby, gdyby Oskar nie wypadł z okna.

Pan Schmidt przyglądał się dwóm mężczyznom, z którymi siedział teraz w palarni łoży. Znał ich od wielu lat, byli dobrymi braćmi i dobrymi obywatelami o wysokiej pozycji społecznej. Podobnie jak on mieli najwyższe stopnie w łoży Złota Wieża.

Nie wątpił, że mówili prawdę.

- A więc twierdzisz, że jest ktoś jeszcze, kto wie, w jaki sposób umarł Oskar von Wittenheim - zapytał wielki mistrz.

Kiwnął głową. - Tak, a teraz próbuje szantażować panią Bjerkeley.

Dwaj jego towarzysze patrzyli na siebie, zaciągając się cygarami.

- Czy mogą istnieć inne powody, dla których

ktoś mógłby zażądać od niej tak dużej sumy? -zapytał wielki mistrz. - Nie wszyscy łaskawym okiem patrzą na kobietę, która osiągnęła taki sukces, jak pani Bjerkeley.

- Z pewnością. Są w Tonsbergu panie, którym bardzo nie podoba się jej pozycja.

Pan Schmidt przyciął końcówkę swojego cygara, zapalił je. - Przyjmijmy, że szantażysta ma takie motywy, o jakich powiedziała mi pani Bjerkeley oraz że ujawni fakt, iż to jej ojciec włożył do kieszeni jej nieżyjącego męża fałszywy list.

Jego rozmówcy wymienili spojrzenia.

- Jakim sposobem ktoś inny niż my może wiedzieć o tym, co się stało? - zapytał wielki mistrz.

Pan Schmidt posłał w i tak już zadymione powietrze kolejną chmurę dymu z cygara. - O to właśnie chodzi - założył nogę na nogę i opadł na oparcie głębokiego fotela. - Poza nami były jeszcze dwie osoby, które wiedziały, co się stało.

Wielki mistrz kiwnął głową. - Poprzedni wielki mistrz i pan Blickenfeldt.

Pan Schmidt przytaknął. - Właśnie tak. I obaj nie żyją.

Wielki mistrz upił mały łyk ze swojego kieliszka z koniakiem.

- To oznacza, że jeden z nich musiał to zdradzić komuś spoza loży.

Pan Schmidt popatrzył w oczy wielkiego mistrza i kiwnął głową. - Czyli myślimy tak samo.

- I nie sądzę, żeby to ojciec pani Bjerkeley zdradził komukolwiek tę tajemnicę - ciągnął wielki mistrz. Dyrektor Schmidt cmoknął zaciągając się cygarem. - Myślę, że masz rację.

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Żadnemu nie podobał się wniosek płynący z tej rozmowy.

Że poprzedni wielki mistrz złamał najważniejsze prawo loży.

To, co w zaufaniu powiedziano wielkiemu mistrzowi, nigdy nie powinno dotrzeć do uszu postronnych osób.

Sanie skręciły w aleję przed Ladefoss.

Wczorajszego popołudnia Abelone otrzymała wiadomość od pastora Munthe z zaproszeniem na plebanię. Wiedziała, że chce porozmawiać z nią o Mariniusie. Przypuszczała, że raz jeszcze chce się upewnić, czy wszystko z nią w porządku.

Właściwie to bardzo dziwne, że pani Agnes nie bywała w Gimle ostatnimi czasu, myślała Abelone. Obawiała się, że doskonale zna tego przyczynę. Bratowa pastora była bardzo wzburzona, gdy zobaczyła ich razem w stodole i Abelone obawiała się, że jest zazdrosna - zupełnie nie mając ku temu podstaw.

Miała nadzieję, że nie przyjechała za późno.

Wracała właśnie z Kleivan, gdzie rozmawiała z tamtejszą gospodynią o tym, czy jedna z ich służących nie mogłaby doglądać Malinę i jej rodziny w chorobie. Służąca była niezamężna, nie miała dzieci, a poza tym przechodziła odrę w dzieciństwie.

Chorych nie powinno się zostawiać samym sobie, tak jak to miało miejsce teraz, a doktor Greni odradził, by ktokolwiek, kto nie chorował jeszcze na odrę pojawiał się w zagrodzie dzierzawców. W ten sposób, być może, uniknie się rozprzestrzenienia się choroby.

Sama nie potrafiła przestać myśleć o tych wszystkich dniach, podczas których chora Malinę pracowała w Gimle. Zajmowała się przecież także Małym Erikiem. Odetchnęła głęboko, próbowała odsunąć od siebie niepokój.

Doktor Greni miał rację, nie pozostawało jej nic, tylko czekać i mieć nadzieję, że nikt więcej już nie zachoruje.

Sanie zatrzymały się przed wejściem na plebanię i Abelone wysiadła. Zazwyczaj pani Agnes wychodziła na zewnątrz, żeby się z nią przywi-

tać, ale dzisiaj się nie pokazała. Zamiast tego na schody wyszedł pastor Munthe z serdecznym uśmiechem na twarzy. Cieszyła się, że jest duchownym. Przyjechała tutaj, bo jest jej pastorem, nie z innych powodów. Tego dnia, kiedy rozmawiał z nią w oborze, czuła, że za jego serdecznością być może kryje się coś więcej niż tylko chęć bycia dla niej miłym.

- No i przyjechała pani do nas, pani Ladefoss

- powiedział ściskając jej dłoń. Jego oczy uśmiechały się do niej ciepło.

Poczuła ulgę, że zachowywał się tak, jak zwykle. Musiała się pomylić.

- Mam nadzieję, że nie był to dla pani niedogodny termin na wizytę tutaj? - ciągnął.

Pokręciła głową, odwzajemniła jego uśmiech.

- Ależ nie, pastorze Munthe - odpowiedziała. Pastor spoważniał wprowadzając ją do domu.

- Wie pani, chciałem się tylko upewnić, że to przerażające wydarzenie, które miało miejsce kilka dni temu, nie przyniosło pani żadnej krzywdy.

Pokręciła głową. - Nie, nic się nie stało - od-

powiedziała wchodząc do salonu, którego gospodarz używał do przyjmowania gości.

Pastor wyciągnął rękę w stronę obitego pluszem fotela w odcieniu głębokiego błękitu. -Proszę usiąść, pani Ladefoss.

Do pokoju weszła służąca z kawą, wystawiono także paterę z ciastkami. Pani Agnes nie było nigdzie widać.

- Mogę pani powiedzieć, że Marinius zostanie postawiony przed sądem, ale obawiam się, że kara nie będzie odpowiadała nikczemności czynu, którego się dopuścił - powiedział i popatrzył na nią ponuro.

- Cieszę się tylko, że już tu nie pracuje - odpowiedziała niechętnie. Ciągle jeszcze nie chciała o tym rozmawiać. Ojciec także próbował ją wypytywać, ale odpowiadając mu nie wgłębiała się w szczegóły. Nikt nie musi wiedzieć, w jaki sposób parobek ją poniżył.

- Tyle przynajmniej mogłem zrobić - powiedział pastor twardo. - Gdybym wiedział, że ma takie skłonności, nigdy bym go nie zatrudnił.

Abelone upiła łyk kawy, próbowała sprowa-

dzić rozmowę na inne tory. - Jak zdrowie ojca pana Langaarda?

Ojciec zarządcy gospodarstwa stracił przytomność tego samego dnia, w którym Marinius napadł ją, w chwilę po tym, jak z nim rozmawiała. Leciwy mężczyzna był słaby, ale według Bery czuł się już lepiej.

- Zdrowieje - odpowiedział pastor odstawiając filiżankę. - Ale jak pani zapewne wie, trochę miesza mu się w głowie. Gregerowi byłoby łatwiej, gdyby jego ojciec mógł zamieszkać w domu opieki.

Abelone kiwnęła głową, cieszyła się, że znaleźli inny temat do rozmowy. - A czy prace na starej plebanii już się rozpoczęły, tak jak pan sobie tego życzył?

Twarz pastora rozjaśniła się, a na jego ustach pojawił się mały uśmiech. - Mam dobre wieści, pani Ladefoss. Okazało się, że władze także zrozumiały konieczność stworzenia domu dla osób starszych i chorych, gdy dowiedziano się, w jaki sposób takie ośrodki funkcjonują gdzie indziej. Dom będzie prowadzony zarówno z da-

rowizn, jak i ze środków gminnych. Zatrudniłmy wspólnie zarządcę i zarządczynię, małżeństwo z Foden - zakończył zadowolony.

Rozumiała, że to dobre wieści, choć sama nie była zaangażowana w tę sprawę. - Czy będzie tam pracowało więcej osób?

Pastor skinął głową. - Zarządcy będą mieszkali na miejscu, ale trzeba będzie zatrudnić służbę i opiekunki, które będą miały pieczę nad starszymi ludźmi - poprawił się w fotelu. - Może chciałaby pani to zobaczyć? Ciągle jeszcze jest sporo do zrobienia, zanim będzie mogła się pani zastanawiać, jakie firanki i meble wybrać, ale w każdym razie będzie pani miała trochę czasu do namysłu.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała ochoty tam jechać, ale z drugiej strony obiecała pomóc pastorowi przy wyposażaniu domu. Kiwnęła głową. - Bardzo chętnie.

Pastor zamierzał coś jeszcze powiedzieć, ale jego uwagę odwróciła jedna ze służących, która właśnie weszła do pokoju i pospiesznie dygnęła. - Pastorze Munthe, zarządca chciałby z panem porozmawiać.

Pastor wstał, ale Abelone zwróciła uwagę na zmarszczkę, która pojawiła się na jego czole z irytacji, mimo że się uśmiechał. - Zaraz wracam, pani Ladefoss.

Pastor zniknął i Abelone została w salonie sama, choć nie na długo. Nie usłyszała nadejścia pani Agnes.

Abelone wstała, czuła narastający niepokój. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki pani Agnes na nią patrzyła, coś niemal wrogiego. Jej twarz była jak z kamienia, spojrzenie ostre.

- Dzień dobry, pani Agnes - zaczęła Abelone ostrożnie. Choć nie było żadnych powodów, dla których mogłaby mieć wyrzuty sumienia, czuła się niepewnie. Pani Agnes zawsze była dla niej taka miła, ale teraz widziała jej drugie oblicze.

- Proszę siedzieć, pani Abelone - odpowiedziała bratowa pastora zimnym głosem.

Abelone usiadła, ale czuła się źle pod ostrzałem jej spojrzenia.

- Przejdę od razu do rzeczy - ciągnęła pani Agnes podchodząc do niej. Poprawiła okulary, wydawała się trochę zdenerwowana. Usiadła

w fotelu naprzeciwko, złożyła dłonie na podołku. Miała blebszą niż zwykle twarz, jej spojrzenie zza okularów było ponure. Abelone dostrzegła, że leciutko trzęsie się jej broda.

- Muszę panią zapytać o pani stosunek do pastora Munthe - zaczęła pani Agnes, wyraźnie unikając patrzenia na Abelone.

Abelone westchnęła bezgłośnie. A więc miała rację. Pani Agnes była zazdrosna. - Obawiam się, że nie wiem, co pani ma na myśli - odpowiedziała, choć doskonale wiedziała, co pani Agnes chce wiedzieć. Czowała się rozczarowana tym, że wyraźnie sądziła, iż coś narodziło się między nią a pastorem. Mimo wszystko powiedziała jej przecież, że nie wyobraża sobie ponownego zamążpójścia.

Agnes przesunęła się na brzeg fotela, jej ręce były niespokojne. - Sądzę, że wie pani, do czego zmierzam, pani Abelone - patrzyła teraz prosto na nią. - Widziałam was na własne oczy w stodole w Gimle. Szybko zdjęła okulary i zaczęła je czyścić.

Abelone patrzyła na nią zdecydowanie, nie

mogła już tego dłużej znieść. - Pani Agnes, mam nadzieję i wydaje mi się, że wie pani, że nic szczególnego nie łączy mnie z pastorem Munthe.

W bratowej pastora coś pękło. - Jak mogę być tego pewna? Ciągłe o pani mówi, jest pani wdową, uważam, że spędzacie ze sobą dużo czasu. Znowu założyła okulary na nos.

Abelone nie wiedziała, co odpowiedzieć. -Mogę panią zapewnić, że musiała pani źle zrozumieć tę sytuację. Pastor Munthe był dla mnie ogromnym wsparciem w trudnym dla mnie czasie, to wszystko.

Pani Agnes znowu poprawiła okulary, choć wcale się nie zsuwały. - Musi pani chyba w takim razie sama to dostrzegać, pani Abelone? -ciągnęła wzburzona. - Nie widzi pani, jak on na panią patrzy?

Abelone pokręciła głową. - Nie mogę powiedzieć nic poza tym, że musiała pani źle zrozumieć sytuację, pani Agnes - zamilkła na chwilę. - Wydawało mi się, że pani wie, że nie chcę drugiego męża - dodała.

Pani Agnes wyprostowała się, patrzyła na nią przez chwilę ostro i kontynuowała. - Mogę pani powiedzieć, że nie jestem jedyną osobą, która zwróciła uwagę na pani stosunek do pastora - powiedziała kwaśno. Abelone poczuła, jak gorąco rozlewa się jej po policzkach. - Co pani opowiada? - zapytała cicho, uważnie mierzyła wzrokiem twarz pani Agnes. Czy we wsi pojawiły się już plotki o niej i o pastorze?

Pani Agnes wstała, wysoko podniosła głowę. - Nie muszę już mówić niczego więcej, pani Abelone - powiedziała ostro. - Nie tylko ja uważam, że sama pani do tego doprowadziła. Chyba rozumie pani, że wpadła pani pastorowi w oko?

Słowa pani Agnes dźwięczały jej w uszach. Co ona opowiadała? Że Abelone go prowokowała? Że otwarcie uganiała się za nowym pastorem? Nie było nic bardziej błędnego. Nigdy nie myślała o nim w taki sposób.

W tej samej chwili usłyszała za sobą kroki, to pastor Munthe wszedł z innego pokoju. Jego twarz była chmurna, patrzył na Agnes ciężkim wzrokiem. Abelone zobaczyła, jak gospodyni

gwałtownie podrywa się z miejsca, unikając patrzenia na pastora.

- Muszę was przeprosić - powiedziała szybko, uniosła spódnice i posuwicie wyszła z pokoju.

Abelone nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. Czy pastor zdążył usłyszeć, co pani Agnes właśnie powiedziała?

- Obawiam się, że muszę jednak jechać na starą plebanię natychmiast - powiedział pastor przeprasząco. - Cieśle odkryli duże szkody pod podłogą, chodzi chyba o jakiś rodzaj chrząszczy, które zjadły część drewna.

Gdyby wcześniej usłyszała zarzuty pani Agnes powiedziałyby, że nie może teraz jechać do dawnej plebanii, ale teraz nie mogła się już wycofać. Będzie musiała być odtąd ostrożniej-sza. Wiedziała, że tego rodzaju plotki szybko rozprzestrzeniają się po wsi i że złe języki chętnie powtarzają kłamstwa i półprawdy.

A jeśli pani Agnes miała rację, że pastor interesuje się nią w ten sposób?

Nie wolno mu sądzić, że Abelone wysyła mu zachęcające sygnały.

Pani Agnes odsunęła nieco cienką, falbaniastą firankę tak, by móc obserwować podwórze. Peder Johan pomagał Abelone wejść na sanie i usiadł obok niej.

Narastał w niej gniew, gdy widziała, jak się do *niej* uśmiechał, jak pilnował, by owcza skóra dobrze okrywała jej kolana.

I sposób, w jaki *ona* się do niego uśmiechała... To było najgorsze. Abelone zaprzeczała, by cokolwiek szczególnego ich łączyło, ale dlaczego w takim razie zachowywała się tak zapraszająco? Musiała zdawać sobie sprawę, że sposób, w jaki się nosi prowokuje Pedera Johana. Tak samo było z Mariniusem. Wcale jej nie dziwiło, że parobek wyobraził sobie, że może skorzystać z jej otwartości.

Poczuła nieprzyjemne ukłucie, gdy sanie ruszyły i chwilę potem zniknęły za zakrętem alei. Bolała ją myśl, że tych dwoje miało spędzić ze sobą jeszcze więcej czasu. Gdyby nie Abelone,

byłaby już dawno zaręczona z Pederem Johanem, tak jak jej obiecał.

Ale wtedy pojawiła się ta piękna, młoda wdowa z sąsiedniego gospodarstwa...

Opuściła firankę. Nie może się w ten sposób podburzać, wściekłość w niczym nie pomagała.

Oddychaj spokojnie, Agnes. Myśl. Myśl.

Podeszła do pianina i usiadła. Pozwoliła palcom prześlizgiwać się chwilę po klawiaturze, po czym zaczęła grać.

Nie sądziła, by Abelone żywiła do pastora tak silne uczucie, jak ona sama, ale to wcale nie zmieniało sytuacji. Peder Johan był wyraźnie oczarowany i wiedziała, że miał nadzieję, że z czasem Abelone odwzajemni jego uczucie.

I czy Abelone naprawdę nie rozumiała, że pastor poświęca jej wyjątkowo dużo uwagi? Czy sądziła, że wszystkim wdowom w parafii okazuje tyle zainteresowania? Abelone była chyba jedyną, która nie rozumiała, że pastor się w niej zakochał. Przez całe lato i jesień ciągle wynajdywał jakieś sprawy do załatwienia w Gimle, a teraz poprosił ją o pomoc w urządzeniu domu

opieki. Bardzo długo wierzyła Abelone, ale jej podejrzenia potwierdziły się tego dnia, kiedy zobaczyła ją z Pederem Johanem w stodole w Gimle.

Prychnęła, jej palce szybko przemykały po klawiszach instrumentu. Abelone nie była być może zakochana w Pederze Johanie, ale na pewno nie byłoby wbrew jej woli zostanie nową pastorową.

Akselel zatrzymał Rimfakse i dał znak lensmannowi, żeby także przystanął. Pomiędzy drzewami majaczyła prymitywna chata z bali, o której mówiła Abelone. Jej mieszkaniec stał właśnie przed domem i rąbał drewno. Ostatnią część drogi przejechali kierując się tym właśnie dźwiękiem, uderzenia siekiery nosły się wyraźnym echem po cichym lesie. Abelone opisała też ojcu dokładnie, gdzie jej zdaniem znajduje się chata.

Lensmann Austad zrównał się z Akselem, zatrzymał i rozłożył przed sobą mapę.

- Wydaje mi się, że pana córka musiała się pomylić - powiedział z zamyśleniem przesuwając palcem po mapie. - Chata nie stoi na pańskich gruntach.

Aksel nachylił się nad mapą, żeby móc lepiej widzieć. Siedziba kłusownika musiała w takim razie leżeć bardzo blisko granicy.

- Widzi pan? - zapytał lensmann i rozejrzał się wokół. - Linia graniczna biegnie między tym dużym kamieniem a początkiem tego stromego wzniesienia za chatą.

Aksel musiał przyznać, że lensmann miał rację. - W takim razie leży na terenie należącym do Rosenlowe?

Lensmann złożył mapę i kiwnął głową. - Tak, na to wygląda.

Wymienili spojrzenia. Mieli parę spraw do omówienia z mieszkańcem ukrytego w lesie domku. Aksel pokazał lensmannowi wnyki i potrzaski, które znalazł w lesie, a Abelone dodała, że widziała skóry i futra wiszące na zewnątrz chaty. Nawet teraz mógł je zobaczyć na własne oczy.

Lensmann Austad ruszył. - Porozmawiajmy z nim.

Wyjechali z lasu i skierowali się wprost do chaty. Natychmiast pobiegł w ich stronę, uja-

dając, lekko zdziczały pies, także teraz rąbiący drewno mężczyzna również ich spostrzegł.

- Shep! Do nogi! - mężczyzna gwizdnął na psa, który niechętnie zatrzymał się i z wahaniem wrócił do swojego właściciela.

Aksel wpatrywał się w psa. Nigdy nie lubił tych zwierząt, odkąd jako dziecko został ugryziony w udo przez jednego z psów w Ladefoss. Nigdy też nie widział psa podobnego do tego, był większy niż popielate psy do polowań, które trzymano we wsi.

Pies położył się w niewielkiej odległości od swojego właściciela, podczas gdy mężczyzna dalej rąbał drewno, nie zaszczycając swoich gości nawet jednym spojrzeniem.

Aksel patrzył na lensmanna wyczekująco. Abelone powiedziała to samo - że mieszkaniec leśnej kryjówki nie był szczególnie gościnny. -Nie wygląda na przesadnie zadowolonego z naszej wizyty - wymamrotał pod nosem.

Lensmann podjechał do mężczyzny i zsiadł z konia.

Aksel zdecydował się pozostać w siodle, naj-

rozsądniej było pozwolić poprowadzić tę rozmowę lensmannowi. Poza tym Rimfakse także nie przepadał za psami.

Popatrzył jeszcze raz na psa, widział, jak zwierzę uważnie śledzi wzrokiem ruchy lensmanna.

- Dzień dobry - zaczął lensmann, musiał mówić bardzo głośno, żeby przekrzyczeć odgłosy uderzającej w drewno siekiery.

Aksel nachylił się niżej nad karkiem konia, widział jak siekiera wolno opada ostrzem na ziemię. Ze zirytowaną miną mężczyzna oparł się o nią.

Lensmann wyciągnął go niego rękę. Przez chwilę Aksel sądził, że mieszkaniec chaty nie uściśnie dłoni Austada, ale w końcu zdobył się na krótkie pozdrowienie.

- Piękną chatę z bali sobie pan tu postawił - zauważył lensmann i podszedł krok bliżej do chatynki, by po chwili odwrócić się do gospodarza z wyczekującą miną. - Czy mogę spytać, jak się pan nazywa?

Oczy mężczyzny pociemniały. - A kto pyta? Opierał się wcześniej na siekierze, ale te-

raz poprawił chwyt na jej trzonku. Lensmann nie założył tego dnia munduru, najbardziej lubił chodzić w swoich zwykłych, cywilnych ubraniach, jak już dawno zauważył Aksel. Poza tym wszyscy we wsi wiedzieli, kim jest - choć najwyraźniej z wyjątkiem stojącego właśnie przed nimi mężczyzny.

Poprawił się w siodle, nie podobał mu się obrót, jaki przybierało to spotkanie. Budowniczy chaty był poza tym wysoki i mocno zbudowany, łatwo było zauważyć, jaki jest silny. Kloce drewna, które rąbał, były naprawdę duże, a on dzielił je na pół jednym uderzeniem.

Lensmann podszedł krok bliżej gospodarza. Kątem oka Aksel zauważył, że pies wstał, wyciągnął głowę do przodu, położył uszy po sobie. Z gardła wydobywało mu się ciche warczenie.

Jeden gest pana wystarczył, by znów się położył, ale Aksel widział, jaki jest czujny i gotowy, by skoczyć do przodu i bronić swojego pana, jeśli okaże się to konieczne.

- Jestem lensmannem w tej wsi - odpowiedział Austad głośno.

Odpowiedź nie zrobiła chyba wrażenia na gospodarzu, ale odłożył przynajmniej siekiereę na pień.

- Aslak Sorensen - odpowiedział matowo patrząc prosto na Austada. Lensmann nie odwrócił wzroku. - Aslak Sorensen - powiedział powoli, jakby próbował przypomnieć sobie to nazwisko. - Nie mogę powiedzieć, że bym widział pana wcześniej we wsi.

Sorensen znów podniósł siekiereę, uniósł ją nad głowę i wbił mocno w pień. - Zna pan wszystkich we wsi, lensmannie? - odpowiedział, patrząc na swojego rozmówcę z ukosa.

Lensmann zmrużył oczy. - Tak sądzę, Sorensen.

Po raz pierwszy pośród gęstej, czarnej brody nieznajomego ukazał się uśmiech. - W takim razie nic dziwnego, że nie wie pan, kim jestem.

Lensmann popatrzył na Aksela, który zauważał zmarszczkę irytacji na jego czole. - Skoro najwyraźniej nie ma pan ochoty z nami rozmawiać, przejdę od razu do rzeczy, Sorensen.

Lensmann otworzył wiszącą na grzbiecie jego

konia sakwę. Bez słowa wyciągnął z niej dwa wnyki na kuny. Sorensen nawet nie mrugnął.

- Czy widywał pan takie wcześniej, Sorensen? - zapytał w końcu lensmann i podszedł do mężczyzny. Sorensen wziął do ręki jeden z wnyków, wygiął go lekko, jakby chciał go wypróbować. Aksel gryzł się w język, żeby niczego nie powiedzieć. Stojący przed nimi osobnik zachowywał się nieznośnie, musiał chyba wiedzieć, czy pułapki zostały zastawione przez niego, czy nie? Widział poza tym wnyki wiszące na haku przy drzwiach chaty.

W końcu Sorensen pokręcił głową i oddał sidła lensmannowi.
- Nie, lensmannie, to nie jest żadna z moich pułapek - jego ponure spojrzenie spoczęło na rozmówcy.

- Czy jest pan pewien? - zapytał Austad kwaśnym tonem. - Wydaje się pan nie do końca o tym przekonany.

Sorensen kiwnął głową. - To nie jest żadna z moich pułapek - powtórzył.

Aksel podjechał dwa kroki bliżej. Gotowało się w nim ze złości. - Ale pan także ma si-

dła - powiedział i kiwnął głową w stronę chaty. - Gdzie je pan zastawia?

Oczy mężczyzny błysnęły niebezpiecznie i Aksel znów poczuł, że powinni być ostrożniej-si. Abelone powiedziała im to samo, jej także nieznajomy się nie spodobał.

- Zastawiam je w lasach należących do Rosenlowe - odpowiedział rozniewanym głosem.

- I ma pan na to pozwolenie? - zapytał lensmann.

Sorensen odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku chaty. Bez słowa, gwałtownym ruchem otworzył drzwi i zniknął wewnątrz. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Lensmann wrócił do swojego konia. -Nie podoba mi się ten człowiek - powiedział cicho. - Jestem pewien, że pułapki należą do niego - zerknął na Aksela. - Dlaczego w innym wypadku przyglądałby się wnykom tak uważnie?

Aksel nie zdążył odpowiedzieć, bo brodaty mężczyzna ponownie ukazał się w drzwiach

chaty. W dłoni trzymał złożoną na czworo kartkę papieru, którą podał lensmannowi.

Austad rozwinął papier i przeczytał jego treść, po czym kiwnąwszy głową oddał go Sorensenowi. - A więc ma pan pozwolenie od nowego właściciela Rosenlowe na polowanie w jego lesie?

Mężczyzna przez chwilę jeszcze trzymał dokument w ręce, by po chwili włożyć go do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Sam pan widział, czyż nie?

Lensmann poprawił czapkę i z powrotem wsiadł na konia. Przez chwilę mierzył jeszcze nieznanego wzrokiem. - Będziemy mieć na ciebie oko, Sorensen.

Aksel posłał mieszkańcowi chaty piorunujące spojrzenie, zawrócił Rimfakse i podążył w ślady lensmanna.

On także uważnie będzie śledził poczynania Aslaka Sorensena.

Był pewien, że to on kłusował w lasach Gimle.

W przeciwnym wypadku - dlaczego zachowywałby się w taki sposób?

- Niech pan sam zobaczy, pastorze Munthe - Greger Langaard, zarządca gospodarstwa Ladefoss, otworzył drzwi prowadzące do kuchni dawnej plebanii. Podłoga była częściowo zerwana.

Zarządca podszedł do ziejącej w podłodze dziury, nachylił się nad nią i wskazał palcem do środka. - Widzi pan?

Abelone stała za pastorem, ale wiedziała, co pan Langaard chciał mu pokazać.

- Belki są prawie całkiem zjedzone - powiedział pastor Munthe w zamyśleniu. Zarządca wyprostował się i kiwnął głową. - Obawiam się, że szkody są większe niż przypuszczaliśmy.

Szkodniki zagnieździły się w wielu częściach podłogi na dole, ale też w niektórych miejscach między parterem a pierwszym piętrem.

Pastor nachylił się, przyjrzał się bliżej. - A co powiedział na to Borger?

To Borger, najmłodszy syn gospodarzy z Kleivan został obarczony zadaniem zmodernizowania starej plebanii.

Greger przeczesał palcami włosy, pokręcił głową. - Chce, żeby zobaczył to też inny stolarz, ale skoro szkodniki wyrządziły tyle szkód...

Pastor westchnął głęboko. - Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do całkowitej rozbiórki domu -zerknął na Abelone. - Postawienie zupełnie nowego budynku byłoby zbyt kosztowne - odwrócił się znów do Gregera. - Gdzie jest Borger?

- Mogę zaraz po niego pójść, wydaje mi się, że jest w pralni.

Greger wyszedł z kuchni i Abelone znów została sama z pastorem. Atmosfera między nimi była napięta, odkąd wyjechali z Ladefoss i Abelone wydawało się, że wie, dlaczego. Pastor musiał usłyszeć, co powiedziała jej pani Agnes.

- Mogę pani pokazać pozostałe pomieszczenia - zaproponował Munthe. - I plany ukazujące, jak wyobrażamy sobie wygląd gotowego domu.

Przytrzymał przed nią drzwi, gdy wchodzili do pokoju używanego przez poprzedniego pastora do przyjmowania gości. Teraz, kiedy usunięto z niego meble, dywany i inne przedmioty, widać było w jak opłakanym stanie znajdował się dom. Na jasnej tapecie w wielu miejscach widać było pokaźne plamy wilgoci, uwagi Abelone nie umknął także krzywy sufit.

- Jak pani widzi, koniecznych jest tu całe mnóstwo przeróżnych napraw - westchnął Munthe i podszedł do drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Podłoga z desek skrzypiała pod jej stopami, gdy szła za nim. - Zupełnie jakby deski zapadały się pod stopami - powiedziała, przenosząc ciężar na jedną nogę. Wyraźnie czuła, że ta podłoga wiele już nie wytrzyma.

Pastor kiwnął głową. - Tak, też na to zwróciłem uwagę. Wcześniej stał tu stół, więc niełatwo to było to dostrzec.

Weszli do korytarzyka, z którego wąskie schody prowadziły na piętro.

- Proszę pójść za mną, pokażę pani, jakie zmiany zamierzamy wprowadzić na górze - uśmiechnął się do niej. - Borger chciałby zbudować jeszcze jedne schody, w innej części domu. Miała pani rację mówiąc, że te są zbyt strome dla starszych ludzi.

Weszli po schodach i znaleźli się w przejściu dobrze oświetlonym oknem dachowym. Także tutaj widoczne były szkody wyrządzone przez wodę.

Korytarz był wąski i przez chwilę pastor dotknął jej przelotnie przechodząc obok. Ich oczy się spotkały, ale Abelone szybko odwróciła wzrok i ruszyła w stronę najbliższego pokoju, którego drzwi były otwarte.

- Pani Ladefoss! - pastor stanął za nią i delikatnie ujął ją za ramię.

Serce zaczęło jej mocniej bić, nie wiedziała, czy będzie potrafiła zmierzyć się z tą sytuacją. Czy nie mogą po prostu zostawić tego tak, jak jest? Oboje poczuli się skrępowani, gdy-

by teraz pastor zaczął mówić o pretensjach pani Agnes.

- Pani Ladefoss - powtórzył pastor cicho. Powoli odwróciła się do niego. Jego twarz

miała inny wyraz niż zwykle. Najczęściej na jego twarzy malował się łagodny uśmiech, zawsze wyglądał tak... poprawnie, pomyślała. Teraz uśmiech zniknął, a oczy pociemniały.

- Pani Ladefoss, ja... - zaczął niezdarnie. Abelone nie wiedziała, co powiedzieć. Obawiała się, że pastor zechce teraz zwierzyć się jej ze swoich uczuć. *Nie pozwól mu tego zrobić.*

Ujął jej dłoń, lekko je uściśnął. Próbowwała przyciągnąć je z powrotem do siebie, ale przytrzymał je.

- Jest coś, o czym muszę pani powiedzieć, pani Ladefoss - powiedział. W kącikach jego ust okazał się teraz mały, niepewny uśmiech, ale jego oczy wciąż były poważne, niemal wystraszone. Nigdy wcześniej nie widziała go takim.

Pastor opuścił wzrok i zaczął mówić. - Chciałem powiedzieć to pani osobiście, ale obawiam się, że moja bratowa mnie uprzedziła - roze-

śmiał się krótko, jakby nerwowo, po czym znów podniósł wzrok na nią.

Abelone unikała patrzenia mu w oczy, wiedziała, co zamierza jej powiedzieć. Że to, co powiedziała pani Agnes jest prawdą.

- Nie wiem, czy... - zaczęła, ale pastor przerwał jej.

- Słyszałem, co moja bratowa pani powiedziała - rzekł cicho. Jego dłonie mocniej zaciskały się teraz na jej dłoniach. - Agnes bywa od czasu do czasu nieco zbyt gadatliwa - ciągnął - ale to, co powiedziała pani, jest prawdą.

Abelone popatrzyła na niego. Czuła się zażenowana, dokładnie tak, jak się tego obawiała. Bo co też miała mu odpowiedzieć? Jej własny pastor stoi teraz przed nią i wyznaje jej, że jest w niej zakochany, podczas gdy ona sama nie myśli o nim inaczej niż jako o duchownym. Okazał się być wprawdzie bardzo dobrym przyjacielem, który pomógł jej w żałobie, ale mimo tego nie potrafiła myśleć o nim w *ten* sposób.

-Ja... ja...

Pokręcił głową. - Ciii... Nie musi pani nic mó-

wić, pani Ladefoss, chciałem tylko sam to pani powiedzieć - na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Nie wolno pani sądzić, że czegokolwiek od pani oczekuję, wiem, że nie żywi pani do mnie takich uczuć - zamilkł na chwilę, ich oczy spotkały się.

- Ale wiem też, że miłość to uczucie, które często przychodzi z czasem. Najsilniejsze miłości nierzadko takie właśnie bywają.

Co miała mu odpowiedzieć? Zraniłaby go, gdyby powiedziała mu, że wie, że *nigdy* się w nim nie zakocha. Jednocześnie nie byłoby w porządku rozbudzanie w nim płonnych nadziei.

- Wie pan, kiedy umarł Erik... - szukała najlepszych słów, ale w końcu zdecydowała się powiedzieć to wprost. - Nigdy już nikt nie będzie dla mnie tym, kim był Erik.

Twarz pastora rozjaśniła się w lekkim uśmiechu, oczy nabrały łagodnego wyrazu.

- Wiem, że pani tak uważa - odpowiedział półgłosem.

Abelone wydawało się, że mówił to jakby z wyższością, jakby jej nie wierzył. Nie mógł jednak przecież wiedzieć, jak martwa czuła się

w środku. Nigdy więcej nie poczuje już więzi podobnej do tej, która łączyła ją z Erikiem.

- Ale pewnego dnia - ciągnął pastor - kiedy pani rozpacz zelżeje, mam nadzieję, że będzie pani potrafiła spojrzeć na mnie innymi oczami.

Miała właśnie mu odpowiedzieć, kiedy w tej samej chwili na schodach rozległy się kroki. Pastor Munthe natychmiast puścił jej rękę i cofnął się o krok. Za późno. Greger zdążył ich dostrzec.

- O, przepraszam, nie chciałem przeszkadzać

- przeprosił i zamierzał się oddalić.

Abelone pokręciła głową i pospieszyła w stronę schodów. - Wcale pan nie przeszkadza

- powiedziała szybko, słyszała, jak gorączkowo brzmi jej głos. - Właśnie mieliśmy schodzić.

Rzuciła szybkie spojrzenie pastorowi Munthe, który wpatrywał się w Gregera z irytacją.

Sama cieszyła się, że pojawił się zarządca, dzięki temu mogła zakończyć tę krępującą rozmowę.

Miała nadzieję, że pastor Munthe zrozumiał, że nie odwzajemnia jego uczuć i że nigdy ich nie odwzajemni.

Pani Agnes szczerzej otuliła starego człowieka kocem. - Śpi -
szepnęła do Gregera, który podszedł i stanął obok niej.

Greger kiwnął głową. - Polepszyło mu się trochę, ale nadal
jest słaby.

Pani Agnes stała i patrzyła na twarz ojca Gregera. Jego skóra
była gruba, jak to zwykle bywało u starszych ludzi, którzy dużo
czasu spędzali na słońcu i wietrze. Siatka głębokich,
wyraźnych zmarszczek pokrywała całe jego oblicze.

- Nie jest już taki blady - powiedziała cicho i zabrała miskę i
kubek stojące na szafce nocnej.

Kiedy ojca Gregera dopadł paraliż serca, lekarz uprzedził ich,
że może przyjść następny atak. Wyglądało jednak na to, że
jakby zdrowiał.

- Dobrze, że dopisuje mu apetyt.

Od czasu, kiedy ojciec Gregera stracił przytomność na
dziedzińcu, odwiedzała go codziennie, żeby osobiście
doglądać jego pielęgnacji i diety. Greger miał sporo pracy
zarówno w La-

defoss, jak i na starej plebanii, ale mimo wszystko starał się dbać o ojca.

Podeszła do małego blatu kuchennego myśląc o rozmowie między ojcem i synem w dniu, w którym ojciec Gregera zachorował. To, co usłyszała, zachowała tylko dla siebie, to nie była jej sprawa. Jednak... Co teraz myślał sobie Greger? I jakie znaczenie wypowiedź ojca Gregera będzie miała dla ich przyszłości? Czy *będzie* miała jakiegokolwiek znaczenie?

- Proszę nie przejmować się naczyniami, pani Agnes - powiedział Greger z uśmiechem. - Służąca tym się zajmie.

Agnes popatrzyła na niego z wdzięcznością. Musiała się pospieszyć, ciągle jeszcze pozostało trochę przygotowań do jutrzejszej kawy po nabożeństwie.

Zaczęła wkładać płaszcz, zastanawiając się jednocześnie, jak sprowadzić rozmowę na temat Abelone, Pedera Johana i ich wizyty na starej plebanii. - Podobno w podłogach starej plebanii rozpanoszyły się szkodniki - zaczęła, próbując nadać swojemu głosowi naturalny ton.

Greger kiwnął głową, oparł ręce na biodrach.

- Są tam na pewno. Uszkodzona jest nie tylko podłoga, ale też dach i ściany.

Agnes naciągała na dłonie rękawiczki. - Tak, pastor mówił, że będzie dużo dodatkowej pracy. Trochę czasu minie, nim pani Ladefoss będzie mogła zacząć zastanawiać się nad wyposażeniem domu.

Czy to dziwne, że przywoływała ją w rozmowie? Nie, nie będzie się nad tym teraz zastanawiać.

Greger mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Wydaje mi się, że pani Ladefoss wpadła pastorowi w oko - powiedział, patrząc na nią wyczekująco.

Jej serce zamarło na chwilę, nie potrafiła popatrzeć mu w oczy. A jednak to o tym właśnie chciała z nim rozmawiać. Poza tym wiedziała, dlaczego Greger zadał jej to nieme pytanie, nietrudno to było zrozumieć. Podejrzewała, że Abelone wpadła w oko nie tylko Pederowi Johanowi. Zrozumiała to tego dnia, w którym Marinius zastawił na Abelone pułapkę w szopie na drewno. Greger szalał z wściekłości na Mariniu-

sa i solidnie go obił, gdy tylko Abelone pojechała do domu. Zmusiła się do uśmiechu. - Dlaczego tak uważasz?

Spojrzała na niego, wiedziała, że stara się wydobyć z niej informację o tym, czy uczucia pastora są odwzajemnione.

Greger zwlekał chwile z odpowiedzią. - Widziałem ich dzisiaj razem w starej plebanii.

Czekała aż powie coś jeszcze, ale nie kontynuował tematu.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała i posłała mu uśmiech.

Podeszła do drzwi, zdecydowała się tym razem nic już więcej nie mówić. Musiała postępować w tej sprawie ostrożnie. Ale w nadchodzącym czasie postara się wzmocnić zainteresowanie Gregera osobą Abelone.

Greger był mężczyzną na schwał, na którego z czasem Abelone mogłaby zwrócić uwagę.

Należało mieć nadzieję, że w takim wypadku Peder Johan zrozumiałby, że młoda wdowa nie jest partią dla niego.

Zimny wiatr był tego dnia szczególnie dotkliwie odczuwalny na pagórku, na którym zbudowano kościół i pani Agnes głębiej wcisnęła dłonie w futrzaną mufkę. Parafianie najwyraźniej myśleli tak samo, skoro wielu z nich pospiesznie sadowiło się już w swoich saniach.

Zerknęła na Abelone zmierzającą właśnie w kierunku cmentarza, gdzie chciała zapewne odwiedzić grób swojego zmarłego męża, jak to miała w zwyczaju po każdym niedzielnym nabożeństwie.

Agnes rozejrzała się szybko wokół. Musiała się pospieszyć, żeby zdążyć porozmawiać jeszcze z panią Poppe. Postawna małżonka miejscowego nauczyciela chętnie słuchała plotek i równie ochoczo przekazywała je dalej. Teraz oboje z mężem zmierzali właśnie do swoich sań. Agnes podeszła do niej szybkim krokiem. - Pani Poppe?

Kobieta odwróciła się do niej, jej okrągła

twarz rozjaśniła się natychmiast w szerokim uśmiechu. - Pani Agnes, jak miło!

Czasami zastanawiała się, co mieszkańcy wsi tak naprawdę o niej myślą. Czy mieli ją za prawdziwą gospodynię plebanii, czy tylko za zwykłą pomoc w gospodarstwie zatrudnioną przez pastora z dobroci serca i litości dla swojej biednej, owdowiałej bratowej? Nie wiedziała. Miała nadzieję, że to pierwsze. Ona sama w każdym razie nie uważała się za zwykłą pomoc domową. Wykonywała obowiązki pani domu, dokładnie takie, jakie miałyby, gdyby była żoną pastora. Tak, jak było to wcześniej w planie.

- Pani Poppe, chciałam panią zapytać, czy miałyby pani czas wziąć udział w zebraniu Koła Kobiet w Kleivan w następną środę? Zamierzamy zaplanować następne przedsięwzięcia koła i jestem pewna, że może nam pani bardzo w tym pomóc.

Pani Agnes zwróciła uwagę na rumieniec, którym oblały się policzki pani Poppe. Spotkanie było w zasadzie zarezerwowane dla tych pięciu pań, które stanowiły zarząd koła, ale

wiedziała, że pani Poppe z chęcią objęłaby bardziej odpowiedzialne stanowisko w ich stowarzyszeniu. Jak dotąd przewodnicząca koła nie pozwalała na to, między nią a panią Poppe istniała widocznie jakaś niewyjaśniona sprawa, ale jak dotąd Agnes nie interesowała się tym.

- Bardzo chętnie, pani Agnes - odpowiedziała z zapałem. Przez moment rozmawiały jeszcze o pracach koła.

Po chwili pani Agnes rzuciła szybkie spojrzenie na Abelone, która stała teraz nad grobem Erika. To był właściwy moment, tak to sobie obmyśliła.

Rozmowa urwała się na chwilę i pani Agnes kiwnęła lekko głową w kierunku Abelone.

- To takie dziwne... - zaczęła powoli i na kilka sekund specjalnie pozwoliła słowom zawisnąć w powietrzu. Uchwyciła spojrzenie pani Poppe, która patrzyła na nią zbita z tropu.

- Co ma pani na myśli?

Pani Agnes zwlekała chwilę z odpowiedzią. -Nie, nic takiego. Popatrzyła z zamyśleniem na Abelone, dobrze wiedząc o tym, że pani Pop-

pe przygląda się jej uważnie i popatrzy w tym samym kierunku. Abelone zmiotła śnieg z nagrobka stojącego na grobie jej męża i wyszła na spotkanie swojemu ojcu.

- Chodzi pani o panią Ladefoss? - zapytała pani Poppe i podeszła krok bliżej.

Agnes kiwnęła głową. - Rozumiem, że chce odwiedzać grób swojego zmarłego męża, ale często widzę ją też, jak stoi obok tego dużego jesionu w rogu cmentarza.

Popatrzyła na panią Poppe, miała nadzieję, że przynęta zadziałała i przyciągnie jej uwagę.

Żona nauczyciela nachyliła się bliżej. - Czy sądzi pani... - zakryła dłonią usta. - Czy sądzi pani...? - powtórzyła ciszej.

Pani Agnes pokręciła głową pospiesznie. -Nic nie sądzę - powiedziała zdecydowanym głosem, musiała uważać, by *osobiście* nie pisnąć ani słowa. Pani Poppe powinna sama wyciągnąć wniosek o tym, że Abelone mogła być matką martwego dziecka, które znaleziono na mokradłach i pochowano pod jesionem.

Znów popatrzyła na panią Poppe, która

stała teraz jak wmurowana i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w Abelone. Agnes wiedziała, o czym myśli. Dokładnie tak, jak chciała. Niewiele osób wiedziało o tym, że oprócz Małego Erika Abelone wydała na świat także jego bliźniaczą siostrę. Właściwie tylko pastor i akuszerka, pomyślała pani Agnes. Dlatego też nikt nie wiedział, że córkę Abelone pochowano w tym samym miejscu, w którym leżało martwe dziecko z mokradeł - w północno-wschodnim rogu cmentarza, gdzie chowano wszystkie dzieci, które urodziły się martwe.

- W takim razie widzimy się w przyszłą środę, pani Agnes - zakończyła rozmowę pani Poppe i zaczęła wdrapywać się na sanie. Agnes przypuszczała, że jej mąż będzie pierwszą osobą, która usłyszy plotkę.

Miała rację. Widziała, jak pani Poppe nachyla się do ucha swojego małżonka i szepcze coś pospiesznie. Po chwili oboje spojrzeli na Abelone.

Agnes odwróciła się i ruszyła z powro-

tem w stronę kościoła. Osiągnęła to, co chciała i sama przy tym nie powiedziała ani słowa.

Pani Poppe już sądziła, że martwe niemowlę znalezione na mokradłach było dzieckiem Abelone.

Wkrótce cała wieś będzie tego samego zdania.